

WILLIAM BECKFORD

WATHEK

TYTUŁ ORYGINAŁU: WATHEK
PRZEKŁAD: ANNA JASIŃSKA



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1975

Wathek, dziewiąty kalif z rodu Abbasydów, był synem Mutasyima, a wnukiem Haruna ar-Raszida. Wstąpił na tron w kwiecie swego wieku. Wielkie przymioty, jakie już posiadał, napełniały lud nadzieją, że panowanie jego będzie długie i szczęśliwe. Oblicze władcy było łagodne i majestatyczne; ale kiedy był w gniewie, jedno oko stawało się tak straszliwe, że nie można było znieść jego spojrzenia: nieszczęsny, w kim zostało ono utkwione — padał na wznak, a niekiedy nawet w tej samej chwili ducha wyziewał. Toteż z obawy wyludnienia państw swoich i uczynienia pustyni z pałacu, książę nader rzadko w gniew wpaadał.

Był on bardzo dbały o kobiety i rozkosze stołu. Hojność jego była bez granic, a rozpusta bez umiarkowania. Nie wierzył, jak Omar ben Abd al-Aziz, że należało stworzyć sobie piekło na tym świecie, żeby raj zdobyć na tamtym.

W przepychu przewyższył wszystkich swych poprzedników. Pałac al-Karimi, zbudowany przez ojca jego Mutasyima na Wzgórzu Srokatych Koni i górujący nad całym miastem Samarrą, wydał mu się nie dość obszerny. Dorzucił mu pięć skrzydeł, albo raczej pięć innych pałaców, a każdy z nich przeznaczył dla dogodzenia innemu z pięciu zmysłów.

W pierwszym z tych pałaców stoły stale były zastawione najbardziej wykwintnymi daniami. Zmieniano je dzień i noc, w miarę jak stygły. Najdelikatniejsze wina i najlepsze likiery spływały szerokimi strugami ze stu fontann, które nigdy nie wysychały. Pałac ten nazywał się Wieczna Uczta albo Nienasycenie.

Drugi pałac nazwano Świątynią Melodii albo Nektarem Duszy. Zamieszkiwali go najlepsi muzycy i poeci tamtych czasów. Po

wyszkoleniu swych talentów w tym miejscu, roz-pierzchali się w gromadkach, sprawiając, że wszystko wkoło pieśniami ich rozbrzmiewało.

Pałac zwany Rozkoszą Oczu albo Podporą Pamięci był nieustannym zachwyceniem. Znajdowały się tam, w obfitości i w ładzie wielkim, osobliwości zgromadzone z wszystkich świata zakątków. Można było zobaczyć tam galerię obrazów słynnego Mani, i posągi, które wydawały się ożywione. Tam perspektywa pięknie obmyślana wzrok zachwycała, tu magia optyczna zwodziła go mile, ówdzie znaleźć można było wszelkie skarby natury. Jednym słowem, Wathek, najciekawszy z ludzi, nie pominął w tym pałacu niczego, co mogłoby zaspoko-ić ciekawość tych, którzy go zwiedzali.

Pałac Wonności, zwany również Bodźcem Rozkoszy, podzielony był na kilka sal. Po-chodnie i lampy aromatyczne płonęły tam nawet w biały dzień. Żeby rozproszyć stan miłego upojenia, jakie miejsce to wywoływało, schodziło się do rozległego ogrodu, gdzie nagromadzenie wszelkich kwiatów pozwalało wchłaniać powietrze słodkie i pokrzepiające.

W piątym pałacu, który zwał się Przybytek Radości albo Niebezpieczny, znajdowało się kilka gromadek młodych dziewcząt. Były piękne i pełne starań jak hurysy, i nie nużyły się nigdy miłym przyjmowaniem tych, których kalif zechciał do ich towarzystwa dopuścić.

Mimo wszystkich tych rozkoszy, w jakich pogrążał się Wathek, książę ten nie był przez to mniej przez swój lud kochany. Uważano, że władca, który przyjemnościom się oddaje, jest co najmniej tak zdatny do rządzenia jak ten, który wrogiem ich się ogłasza. Ale charakter jego, ognisty i niespokojny, nie pozwolił mu na tym poprzestać. Za życia swego ojca tak wiele dla rozpędzenia nudy studiował, że sporo wiedział; ale chciał znać wszystko, nawet te nauki, co nie istnieją. Lubił prowadzić dysputy z uczonymi, nie trzeba im było jednak zbyt daleko w sprzecznie się posuwać. Jednym usta prezentami zamykał, a tych, których zawziętość szczo-drości jego się opierała, wysyłał do więzienia dla ochłodzenia zbyt gorącej krwi; lekarstwo, które często skutkowało.

Wathek wtrącał się również do sporów teologicznych, a nie była to strona ogólnie za ortodoksyjną uznawana, po której zwykł się być opowiadać. Obrócił przez to przeciw sobie wszystkich dewotów:

wówczas zaczął ich prześladować, bowiem, za jakąkolwiek by to cenę być miało, zawsze chciał mieć rację.

Wielki Prorok Mahomet, którego kalifowie są wikariuszami, oburzony był bezbożnym postępowaniem jednego ze swoich następców. Zostawmy go w spokoju, powiadał do duchów, co stałe na jego rozkazy czekają: zobaczymy, jak daleko posunie się jego obłąd i bluźnierstwo; jeśli zajdzie za daleko, potrafimy ukarać go jak trzeba. Pomóżcie mu zbudować tę wieżę, którą, za przykładem Nimruda, wznosić zaczął; nie jak ten wielki wojownik, żeby ująć przed nowym potopem, ale w zuchwałej ciekawości przeniknięcia tajemnic Nieba. Może robić, co zechce, nie odgadnie nigdy losu, jaki go czeka!

Duchy usłuchały; i kiedy robotnicy w ciągu dnia wznosili wieżę o jeden łokieć, one dorzucały dwa podczas nocy. Szybkość, z jaką budowla ta została postawiona, pochlebiała próżności Watheka. Myślał, że nawet martwa materia do planów jego się naginała. Książę nie brał pod uwagę, mimo całej swej wiedzy, że powodzenie szaleńca i niegodziwca to pierwsze różgi, jakie dostają.

Pycha jego doszła do szczytu, gdy wspiąwszy się po raz pierwszy na jedenaście tysięcy stopni swej wieży, na dół popatrzył. Ludzie wydali mu się jak mrówki, góry jak muszle, a miasta jak ule z pszczołami. Wyobrażenie o własnej wielkości, jakie dała mu taka wysokość, do reszty w głowie mu zawróciło. Już miał sam siebie zacząć uwielbiać, kiedy oczy wznosząc zorientował się, że gwiazdy oddalone były od niego tak samo jak z powierzchni ziemi. Z mimowolnego poczucia swej małości pocieszał się jednak myślą, że wydaje się wielkim w oczach innych; pochlebiał sobie zresztą, że światła jego umysłu przebiją granice wzroku, i że zmusi gwiazdy do zdania mu sprawy z wyroków jego przeznaczenia.

W tym celu spędzał on większość nocy na szczycie swej wieży i, uważając się za wtajemniczonego w sekrety astrologii, wyobrażał sobie, że planety cudowne przygody mu zwiastowały. Człowiek niezwykle miał przybyć z kraju, o którym nigdy dotąd nie słyszano, a którego on miał być heroldem. Wówczas podwójną uwagę zaczął cudzoziemcom poświęcać, i kazał po ulicach Samarry roztrąbić, że żaden z jego podwładnych nie ma prawa zatrzymywać ani przyjmować u siebie wędrowców, gdyż wszystkich ich chciał sprowadzać do swego pałacu.

W jakiś czas po tym obwieszczeniu zjawił się człowiek, którego twarz była tak straszna, że strażnicy, którzy go zgarnęli, zmuszeni byli zamknąć oczy prowadząc go do pałacu. Sam kalif zdawał się być zdziwiony jego okropnym wyglądem; ale wkrótce po tym mimowolnym przerażeniu radość nastąpiła. Nieznajomy rozłożył przed księciem takie osobliwości, jakich ten nigdy jeszcze nie widział, i jakich istnienia nawet nie podejrzewał.

W istocie, nic w nadzwyczajności dorównać nie mogło towarom cudzoziemca. Klejnoty jego były w większości równie pięknie oszlifowane, jak i wspaniałe. Posiadały one ponadto właściwość szczególną, wypisaną na rulonie pergaminu, jaki do każdego z nich był przywią-zany. Można było ujrzeć tam pantofle, które pomagały stopom w chodzeniu; noże, co bez ru-chu dłoni rozcinały; szable, które przy najmniejszym geście cios zadawały; wszystko wzbogacone było drogocennymi kamieniami, jakich nikt nie znał.

Wśród wszystkich tych osobliwości znajdowały się szable, których ostrza oślepiające błyski rzucały. Kalif chciał je mieć, i obiecywał sobie do woli odcyfrowywać nieznane litery, jakie na nich były wyryte. Nie pytając kupca o cenę, kazał położyć przed nim wszystkie złote monety swego skarbcza i polecił mu wziąć tyle, ile mu się spodoba. Ten wziął niewiele, wciąż głębokie milczenie zachowując.

Wathek nie wątpił wcale, że milczenie nieznajomego spowodowane było szacunkiem, jaki wzbudzała w nim jego obecność. Łaskawie zbliżyć mu się kazał i zapytał go uprzejmie, kim był, skąd przybywał i gdzie nabył tak piękne rzeczy. Człowiek, albo potwór raczej, za-miast odpowiedzi na te pytania, potarł trzy razy swe czoło, bardziej niż heban czarne, cztery razy uderzył się po brzuchu, którego obwód był olbrzymi, otworzył szeroko oczy, zdające się być dwoma płonącymi węglami, i wybuchnął śmiechem o okropnych dźwiękach, ukazując zęby w kolorze bursztynu zielono prążkowanego.

Kalif poruszony trochę powtórzył swe pytanie; ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wówczas książę zaczął się niecierpliwić i wykrzyknął:

— Czy wiesz, nieszczęsny, kim jestem? I czy pomyślałeś, z kogo żarty stroisz sobie?

A zwracając się do swych strażników zapytał, czy słyszeli go, jak

mówił. Ci odrzekli, że słyszeli, ale że to, co powiedział, niewiele znaczyło.

— Niech więc mówi jeszcze — odparł Wathek — niech mówi, jak potrafi, i niechże powie mi, kim jest, skąd pochodzi i skąd przynosi dziwne osobliwości, jakie mi zaofiarował. Przysięgam na osła Balaama, że jeśli dalej milczał będzie, zmuszę go do pożałowania swego uporu.

Te słowa mówiąc, Wathek nie mógł się powstrzymać od rzucenia nieznanemu jedne-go ze swych groźnych spojrzeń: ten ani nie drgnął nawet; oko straszliwe i zabójcze żadnego na nim wrażenia nie uczyniło.

Trudno wprost byłoby wyrazić zdziwienie dworzan, kiedy spostrzegli, że gburowaty kupiec zniósł taką próbę. Rzucili się twarzą do ziemi, i byłiby tak pozostali, gdyby kalif nie rzekł im z wściekłością:

— Powstańcie, tchórze, i złapcie tego nędznika! Niech zostanie zawleczony do więzie-nia i pilnie strzeżony przez najlepszych moich żołnierzy! Może wziąć ze sobą pieniądze, które dałem mu przed chwilą; niech je zachowa, ale niech przemówi.

Na te słowa z wszystkich stron rzucono się na cudzoziemca; skrępowano go grubymi łańcuchami i wtrącono do więzienia w wielkiej wieży. Siedem kręgów prętów żelaznych, o szpicach tak długich i ostrych jak różna, z wszystkich stron go otaczało.

Kalif trwał jednak nadal w stanie gwałtownego wzburzenia. Ani słowa nie wypowie-dział; zaledwie zechciał usiąść do stołu, i spożył tylko trzydzieści dwa dania na trzysta, jakie codziennie mu podawano. Ta dieta, do której nie był przyzwyczajony, sama w sobie przeszkodziłaby mu w uśnięciu. Jakiż zatem skutek jej być musiał łącznie z niepokojem, w które-go był mocy! Toteż zaledwie zaświtało, pobiegł do więzienia, żeby wznowić wysiłki przeła-mania uporu nieznanego. Ale wściekłość jego stała się nie do opisania, gdy ujrzął, że go już tam nie było, że żelazne kraty były wyłamane, a strażę bez życia. Nie spotykany dotąd szął go ogarnął. Z całej siły kopać zaczął otaczające go trupy i przez cały dzień nie przestał bezcześcić ich w ten sam sposób. Dworzanie i wezyrowie zrobili, co mogli, żeby go uspokoić, ale widząc, że nie mogą się z tym uporać, wszyscy razem wykrzyknęli: „Kalif oszalał! Kalif oszalał!”

Okrzyk ten został wkrótce powtórzony na wszystkich ulicach

Samarry. Dotarł on wreszcie do uszu księżny Karatis, matki Watheka. Przybiegła bardzo zaniepokojona, by wypróbować władzy, jaką posiadała nad umysłem swego syna. Jej łzy i uściski zdołały wreszcie ka-lifa poskromić, a wkrótce jej prośbom usilnym ulegając, pozwolił zawieść się do swego pałacu.

Karatis ani myślała syna swego samemu sobie zostawić. Wydawszy rozkaz, żeby położyć go do łóżka, usiadła przy nim i słowami swymi starała się pocieszyć go i uspokoić. Nikt lepiej osiągnąć by tego nie zdołał. Wathek kochał ją i szanował nie tylko jako matkę, lecz także jako niewiastę wyższymi talentami obdarzoną. Była ona Greczynką, i wprowadziła go we wszystkie systemy i nauki ludu tego, będącego w czci wielkiej u dobrych muzułmanów.

Jedną z tych nauk była oczywiście astrologia, a Karatis znała ją na wylot. Pierwszą jej troską zatem było przypomnieć synowi o tym, co gwiazdy mu przyobiecały, i zaproponowała, by jeszcze się ich poradził.

— Biada mi — rzekł jej kalif, gdy tylko głos odzyskał — szaleniec ze mnie, nie dlatego, że dałem czterdzieści tysięcy kopniaków moim strażom, które głupio dały się pozabijać, ale dlatego, że nie pomyślałem, iż ten człowiek niezwykły jest tym, którego planety mi zwiastowały. Zamiast go źle traktować, winienem był łagodnością i przymilaniem się pozyskać go sobie.

— Przeszłości nie odwróci się — odpowiedziała Karatis — trzeba myśleć o przyszłości. Może ujrzysz jeszcze, panie, tego, za kim ubolewasz; może te napisy, co są na klingach szabli, dostarczą ci o nim jakichś wiadomości. Jedz i śpij, synu drogi; jutro zobaczymy, co czynić należy.

Wathek usłuchał tej mądrej rady, wstał w lepszym stanie ducha i natychmiast kazał sobie przynieść cudowne szable. Żeby nie dać się ich blaskiem oślepić, patrzył na nie poprzez szkło kolorowe, i usiłował odczytać wyryte na nich napisy, ale na próżno: zachodził w głowę, lecz nie rozpoznał ani jednej litery. Przeciwność ta rozpętała w nim jego wcześniejsze ataki wściekłości, gdyby Karatis w porę nie wkroczyła.

— Uzbrój się w cierpliwość, mój synu — rzekła do niego — znasz przecież wszelkie nauki. Władanie językami to drobiazg będący sprawą bakałarzy. Obiecuj godne cię wynagrodzenie tym, co wyjaśnią te barbarzyńskie słowa, których ty nie rozumiesz, i których

rozu-mienie jest poniżej twej godności: wkrótce woli twej zadość się stanie.

— To być może — rzekł kalif — ale tymczasem dręczyć mnie będzie tłum niedouków, którzy podejmą się tej próby zarówno, by mieć przyjemność wygadania się, jak i z chęci otrzymania nagrody.

Po chwili namysłu dorzucił:

— Chcę tej niegodności uniknąć. Każę zabić tych wszystkich, co mnie nie zadowolą, gdyż, Niebu dzięki, dość mam zdrowego rozsądku, by widzieć, czy ktoś tłumaczy, czy też zmyśla!

— Och! Co do tego, wcale w to nie wątpię — odparła Karatis. — Ale zabijanie nieu-ków to za surowa trochę kara, która może mieć niebezpieczne skutki. Poprzestań na rozkazie spalenia im brody; brody nie są tak niezbędne w państwie jak ludzie.

Kalif raz jeszcze uznał racje swej matki i kazał przywołać swojego pierwszego wezyra.

— Murakanabadzie — zwrócił się do niego — każ ogłosić obwoływaczowi, w Samarze i we wszystkich miastach mojego cesarstwa, że ten, co odczyta litery, które zdają się być nie do odcyfrowania, będzie miał dowody tej hojności, w całym świecie znanej; ale jeśli mu się to nie powiedzie, broda zostanie mu aż do najmniejszego włoska spalona. Niech będzie też obwieszczone, że dam pięćdziesiąt pięknych niewolnic i pięćdziesiąt skrzynek moreli z wy-spy Kurmuth temu, kto dostarczy mi wiadomość o tym dziwnym człowieku, którego znów chcę zobaczyć.

Podwładni kalifa, za przykładem swego pana, przepadali za kobietami i morelami z wyspy Kurmuth. Obietnice te wyostrzyły im apetyt, ale pragnieniem tylko musieli się obejść, gdyż nikt nie wiedział, co się stało z cudzoziemcem.

Inaczej było z pierwszym zadaniem kalifa. Mędrcy, półmędrcy i wszyscy ci, którzy ani jednym, ani drugim nie byli, przybyli odważnie brodę swą ryzykować, i wszyscy ją stracili. Eunuchowie nie robili nic innego, tylko brody palili; co przydało im woni spalenizny, którą niewiasty z seraju tak były zniecierpliwione, że innym trzeba było zajęcie to ofiarować.

Wreszcie któregoś dnia stawił się starzec, którego broda o półtora łokcia przewyższała te wszystkie, jakie dotąd widziano. Urzędnicy pałacowi, wprowadzając go, mówili jeden do drugiego: Co za szkoda! co za wielka szkoda równie piękną brodę spalić!

Kalif myślał to samo; ale nie przejmował się tym. Starzec bez trudu odczytał litery i słowo po słowie objaśnił, jak następuje: „Zostaliśmy stworzeni tam, gdzie wszelkie dobro po-wstaje; jesteśmy najmniejszym z cudów krainy, gdzie wszystko jest cudowne i godne najwię-kszego Księcia ziemi”.

— Och! doskonale to przetłumaczyłeś — wykrzyknął Wathek — znam tego, kogo napis ten ma oznaczać. Niech wydane będzie temu starcowi tyle szat honorowych i tyle tysięcy cekinów, ile słów wypowiedział; oczyścił on serce moje z części przygnębienia, jakie go spo-wijało.

Po tych słowach Wathek zaprosił go na obiad, a nawet na spędzenie kilku dni w swym pałacu.

Nazajutrz kalif kazał przywołać go i rzekł do niego:

— Odczytaj mi raz jeszcze to, co mi wyczytałeś; nigdy dość mieć nie będę wysłuchi-wania tych słów, które zdają się obiecywać mi dobra, za jakimi wzdycham.

Starzec założył natychmiast swe zielone okulary. Ale spadły mu one z nosa, gdy spo-strzegł, że litery z dnia poprzedniego innym miejsca ustąpiły.

— Co ci? — zapytał go kalif. — Co znaczą te dowody zdziwienia?

— Władco świata, litery na tych szablach już nie są te same.

— Cóż mi tu powiadasz? — odparł Wathek. — Ale to nieważne; jeśli możesz, wyjaśnij mi ich znaczenie.

— Oto ono, Panie — rzekł starzec: — „Biada śmiałkowi, który chce wiedzieć to, czego znać nie powinien, i przedsiębrać to, co władzę jego przekracza”.

— Biada tobie samemu! — wykrzyknął kalif, zupełnie nad sobą nie panując. — Precz z moich oczu! Spalone ci będzie tylko pół brody, ponieważ wczoraj dobrze odgadłeś; co do moich darów, nie odbieram nigdy tego, co raz dałem.

Starzec, dość rozsądny na to, by pomyśleć, że tanim kosztem się wykręcił z głupstwa, które popełnił, mówiąc nieprzyjemną prawdę swemu władcy, wymknął się natychmiast i wię-cej już go nie ujrano.

Wathek wkrótce pożałować musiał swej porywczosci. Ponieważ nie przestawał przyglą-dać się uważnie tym literom, łatwo spostrzegł, że zmieniały się one codziennie; a nikt się nie zjawiał, żeby je wyjaśnić. To podniecające zajęcie rozpałało jego krew, przyprawiało

go o za-wroty głowy, zaćmienia wzroku i słabość tak wielką, że z trudem utrzymywał się na nogach: w tym stanie pozwalał tylko wynosić się na wieżę, licząc na to, że coś pokrzepiającego w gwiazdach wyczyta; ale zawiódł się w tej nadziei. Oczy jego, zamglone silnymi waporami, źle mu służyły; nie widział nic poza czarnym i gęstym obłokiem: wróżba, która wydała mu się jak najbardziej złowroga.

Zgnębiony tyłoma troskami kalif zupełnie stracił ducha; dostał gorączki, apetyt przestał mu dopisywać i miast być wciąż największym żarłokiem ziemi, został jej najbardziej zawziętym pijakiem. Nadnaturalne pragnienie go trawiło i jego usta, otwarte niczym lej przepastny, dzień i noc pochłaniały strumienie płynu. Wówczas książę ten nieszczęsny, nie mogąc żadnej przyjemności kosztować, kazał zamknąć Pałac Pięciu Zmysłów, zaprzestał pokazywać się publicznie, przepych swój przed tłumem rozpościerać, sprawiedliwość ludom swoim wymierzać, i zamknął się pośrodku seraju. Był on zawsze dobrym mężem; jego żony zasmuciły się głęboko tym stanem, nie nużąc się nigdy czynieniem ślubów za jego zdrowie i podawaniem mu napojów.

Tymczasem księżna Karatis trwała w najsroźszej boleści. Codziennie zamykała się z wezyrem Murakanabadem, żeby szukać sposobów uzdrowienia lub przynajmniej przyniesienia ulgi choremu. Przekonani, że miało tu miejsce zaczarowanie, przerzucali razem wszelkie księgi magiczne i kazali szukać wszędzie okropnego cudzoziemca, którego oskarżali o autorstwo uroku.

O kilka mil od Samarry była góra wysoka, porośnięta tymiankiem i macierzanką; uroczą polana szczyt jej wieńczyła; można było wziąć ją za raj dla wiernych muzułmanów przeznaczony. Sto gaików krzewów wonnych i tyleż samo lasków, gdzie drzewa pomarańczowe, cedrowe i cytrynowe, przeplatając się z palmą, winną latoroślą i granatowcem, pozwalały zarówno wzrok, jak i węch uraczyć. Ziemia usłana tam była fiołkami; kępki lewkonii nasyciły powietrze swymi słodkimi zapachami. Cztery źródła przejrzyste i tak obfite, że mogłyby dziesięć armii napoić, zdawały się płynąć w tym miejscu po to tylko, by lepiej naśladować ogród Edenu, świętymi rzekami zroszony. Na ich zielonych brzegach słowik opiewał narodziny róży, ukochanej swojej, i skarżył się na krótkotrwałość jej wdzięków; turkawka opłakiwała utratę bardziej rzeczywistych rozkoszy, podczas

gdy skowronek śpiewem swym pozdra-wiał światłość, która ożywia naturę: tam to, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu świata, świergotanie ptaków wyrażało ich rozmaite namiętności; owoce przepyszne, które mogły dziobać, ile chciały, zdawały się podwójnej im energii używać.

Zanoszono niekiedy Watheka na tę górę, żeby mógł świeżym powietrzem pooddychać i pić do woli z czterech źródeł. Jego matka, żony i kilku eunuchów to były jedyne osoby, jakie mu towarzyszyły. Każdy pospieszał, by napełniać wielkie puchary z górskiego kryształu i podsuwać mu je na wyścigi; ale zapał ich nie dorównywał jego łapczywości; często kładł się na ziemi, żeby wodę chłeptać.

Dnia pewnego, gdy godny pożałowania księżę trwał w tej postawie tak niczemnej, jakiś głos chrapliwy, lecz donośny, dał się słyszeć i zganił go w ten sposób:

— Dlaczego jak pies się zachowujesz, o kalifie, tak dumny z twego dostojęstwa i z twej mocy?

Na te słowa Wathek głowę podnosi i widzi cudzoziemca, powód udreń tyłu. Gniew rozpala jego serce i wykrzykuje:

— A ty, giaurze przeklęty! Czego tu szukać przychodzisz? Nie dość ci, żeś zwinnego i żwawego księcia do bukłaka podobnym uczynił? Nie widzisz, że umieram zarówno z przepi-cia, jak i z potrzeby picia?

— Wypij zatem ten łyk jeszcze — powiedział cudzoziemiec, podsuwając mu flakon napełniony czerwonym likierem — i wiedz, żeby zaspokoić pragnienie twojej duszy po tym, które trawi twe ciało, że jestem Hindusem, ale z krainy, która nie jest znana nikomu.

„Kraina, która nie jest znana nikomu”!... Te słowa stały się nagłym przeblaskiem dla kalifa. Było to spełnienie części jego pragnień; a łudząc się, że wszystkie one będą zadość-uczynione, wziął likier magiczny i wypił go bez wahania.

W jednej chwili poczuł się uzdrowiony, pragnienie jego było ugaszone, a ciało stało się bardziej niż kiedykolwiek zwinne. Radość jego była wówczas niezmierna; skacze na szyję straszemu Hindusowi i całuje jego szpetne, ziejące i zaślinione usta z takim żarem, z jakim mógłby całować koralowe wargi najpiękniejszych ze swych żon.

Uniesienia te końca by nie miały, gdyby wymowność Karatis spokoju nie przywróciła. Namówiła ona swego syna, by powrócił do

Samarry, a on kazał podążać przed sobą hero-ldowi, który krzyczał z wszystkich swych sił: „Cudowny cudzoziemiec znów się pojawił, kalifa uzdrowił, przemówił, przemówił!”

Natychmiast wszyscy mieszkańcy tego wielkiego miasta wyszli ze swych domów. Duży i mali tłumnie się zbiegali, żeby zobaczyć, jak idzie Wathek z Hindusem. Powtarzali nieznużenie: „Uzdrowił naszego Władcę, przemówił, przemówił!” Słowa te stały się hasłem dnia, i nie zapomniano ich bynajmniej w czasie zabaw publicznych, które wydano tego samego wieczora na znak uciechy; poeci uczynili z nich refren wszystkich piosenek, jakie skomponowali na ten piękny temat.

Wówczas kalif rozkazał znów otworzyć Pałac Zmysłów; a jako że bardziej niż jakikolwiek inny spieszno mu było odwiedzić ten, co był dla Smaku, rozkazał, by wydano w nim ucztę wspaniałą, na którą sproszeni zostali jego ulubieńcy i wszyscy wyżsi dostojnicy. Hindus, posadzony u boku kalifa, zdawał się sądzić, że by zasłużyć sobie na tyle zaszczytu, należy jak najwięcej jeść, pić i mówić. Dania znikwały ze stołu zaledwie je podać zdążono. Wszyscy patrzyli po sobie ze zdziwieniem; ale Hindus udając, że tego nie spostrzega, całymi haustami pił zdrowie każdego, śpiewał wniebogłosy, opowiadał historie, z których sam śmiał się na całe gardło, i dokonywał improwizacji, które by można było oklaskiwać, gdyby nie ohydne grymasy, z jakimi je deklamował. Podczas całego posiłku nie zaprzestał gadać tyle co dwudziestu astrologów, jeść więcej niż stu tragarzy, i do tego pić odpowiednio.

Chociaż stół trzydzieści dwa razy nakryto, kalif cierpiał z powodu żarłoczności swego sąsiada. Jego obecność stawała się dla niego nie do zniesienia, i z trudem udawało mu się ukrywać swój zły humor i zaniepokojenie; w końcu zdołał powiedzieć na ucho szefowi swych eunuchów:

— Widzisz, Baba Baluku, jak ten człowiek wszystko z rozmachem czyni? Cóż by to było, gdyby dostał się on do moich żon. Idź, każ zdwoić czujność, a uważaj zwłaszcza na moje Czerkieski, które dogodziłyby mu bardziej niż wszystkie inne.

Ptak poranny trzy razy śpiew swój wznowił, kiedy wybiła godzina Dywanu. Wathek przyrzekł osobiście mu przewodniczyć. Wstaje od stołu i opiera się na ramieniu swego wezy-ra, odurzony bardziej wrzaskiem swego hałaśliwego współbiednika aniżeli

winem, które był wypił; biedny książę zaledwie mógł na nogach się utrzymać.

Wezyrowie, dostojnicy Korony, przedstawiciele prawa ustawili się wokół swego władcę w półkolu, w pełnej uszanowania ciszy; natomiast Hindus, z równie zimną krwią, jak gdyby był na czczo, bez ceremonii usadowił się na jednym ze stopni tronu i śmiał się w kułak z oburzenia, jakie zuchwałość jego wzbudzała u wszystkich widzów.

Tymczasem kalif, który głowę miał zaprzątniętą, wymierzał sprawiedliwość jak popadło. Jego pierwszy wezyr spostrzegł to i wpadł nagle na sposób, by przerwać audiencję i uratować honor swego pana. Powiedział szeptem do niego:

— Panie, księżna Karatis spędziła noc na badaniu planet, kazała ci powiedzieć, że bliższe niebezpieczeństwo ci zagraża. Uważaj, żeby cudzoziemiec ten, którego kilka magicznych klejnotów tyłoma względami oplacasz, nie targnął się na twe życie. Jego likier zdawał się uleczyć cię; być może jest to tylko trucizna, której skutek nagły się okaże. Nie odrzucaj tego podejrzenia; spytaj go przynajmniej, co wchodzi w skład jego, skąd go wziął, i wspomnij o szablach, o których zapominać się zdajesz.

Rozdrażniony bezczelnością Hindusa, Wathek odpowiedział skinieniem głowy swemu wezyrowi, a zwracając się do tego potwora, rzekł:

— Wstań i wobec całego Dywanu oświadcz, z jakich mikstur sporządzony został likier, który dałeś mi wypić; rozwikłaj zwłaszcza zagadkę szabli, które mi sprzedałeś, i okaż w ten sposób wdzięczność za łaski, jakimi cię obsypałem!

Kalif umilkł po tych słowach, które wypowiedział tonem tak umiarkowanym, na jaki tylko mógł się zdobyć. Ale Hindus, nie odpowiadając ani też nie ruszając się z miejsca, na nowo zaczął się śmiać i stroić grymasy. Wówczas Wathek nie mógł się pohamować: jednym kopnięciem zrzucił go z podnóża tronu, rusza za nim i bije go z szybkością, która Dywan cały zachęca, żeby go naśladować. Wszystkie stopy są w powietrzu; nie wymierzono mu jednego kopniaka, żeby nie poczuć się w obowiązku do podwojenia go.

Hindus dobrej dostarczał zabawy. Jako że krępy był, zwinął się w kłębek i toczył się pod razami swych napastników, którzy podążali za nim wszędzie z niesłychaną zaciekłością. Tocząc się tak z apartamentu w apartament, z pokoju do pokoju, kłęb porwał za sobą

kogo tylko napotkał. Pałac w zamieszaniu rozbrzmiewał najokropniejszym hałasem. Struchlałe sułtanki poprzez zasłony w drzwiach wyglądnęły, a gdy tylko kłęb się pojawił, nie zdołały się opanować. Na próżno, żeby je powstrzymać, eunuchowie aż do krwi je szczypali; wymknęły się z ich rąk; a wierni ci strażnicy, ze strachu prawie nieżywi, nie mogli sami się wstrzymać, żeby nie wyruszyć śladem fatalnego kłębu.

Przemknąwszy w ten sposób poprzez sale, pokoje, kuchnie, ogrody i stajnie pałacowe, Hindus skierował się wreszcie w aleję wjazdową. Kalif, bardziej od innych zaciekły, mknął tuż za nim i wymierzał mu tyle kopniaków, ile tylko zdołał; jego zapał spowodował, że sam otrzymał kilka wierzgnięć dla kłęba przeznaczonych.

Karatis, Murakanabad i dwóch czy też trzech innych wezyrów, których rozsądek oparł się dotychczas ogólnemu zapamiętaniu, chcąc kalifowi przeszkodzić w robieniu z siebie przedstawienia, rzucili mu się do kolan, żeby go powstrzymać; ale przeskoczył ponad ich głowami i dalej pościg swój prowadził. Wówczas nakazali muezinom wezwać lud do modłów, zarówno po to, by z drogi go usunąć, jak i żeby prośbami swymi próbował odwrócić klęskę tę; wszystko na próżno. Wystarczyło ten kłęb piekielny zobaczyć, by przez niego porwanym zostać. Muezinowie nawet, choć widzieli go z daleka tylko, zbiegli ze swych minaretów i przyłączyli się do tłumu. Wzrósł on też do tego stopnia, że wkrótce w domach w Samarze pozostali tylko paralitycy, kaleki beznogie, konający i niemowlęta przy piersi, których mamki pozbyły się, żeby móc szybciej biec. Nawet Karatis, Murakanabad i inni przyłączyli się wreszcie do dzieła. Krzyki kobiet, które wymknęły się ze swych serajów; nawoływania eunuchów, usiłujących nie stracić ich z oczu; przekleństwa mężów, którzy, biegu nie przerywając, wygrażali jedni drugim; kopniaki dawane i oddawane; koziołki na każdym kroku wywracane, wszystko, koniec końców, czyniło Samarę podobnym do miasta szturmem wziętego i na grabież wydanego. W końcu przeklęty Hindus w tej postaci kłębu przemknąwszy ulicami i placami publicznymi zostawił miasto wyludnione, ruszył drogą równiny Katul i puścił się doliną u stóp góry o czterech źródłach.

Z jednej strony tej doliny wznosiło się wzgórze wysokie; z drugiej znajdowała się przepaść straszliwa, przez wodospady

utworzona. Kalif i pospólstwo, co za nim podążało, obawiali się, żeby kłęb nie wpadł tam, i zdwoili wysiłki, aby go dopaść, ale na próżno; stoczył się on w przepaść i znikł jak błyskawica.

Wathek rzuciłby się bez wątpienia w ślad za perfidnym giaurem, gdyby nie powstrzymała go jak gdyby niewidzialna ręka. Tłum także się zatrzymał; wszystko się uspokoiło; spoglądano ze zdziwieniem po sobie; a mimo zabawności tego wydarzenia nikt się nie roześmiał. Każdy, ze spuszczonej oczyma, z miną zmieszana i ponurą, skierował się w powrotną drogę do Samarry i schronił się w swym domu nie myśląc o tym, że tylko jakaś nieodparta siła mogła popchnąć do niedorzeczności, którą sobie wyrzucano; gdyż dowiedzione jest, że ludzie, którzy chlubią się dobrem, jakiego są tylko narzędziem, przypisują sobie również głupstwa, jakich nie mogli byli uniknąć.

Sam tylko kalif nie chciał doliny opuścić. Rozkazał tam swe namioty ustawić; i wbrew perswazjom Karatis i Murakanabada zajął swe miejsce na skraju przepaści. Można mu było do woli przedkładać, że w tym miejscu teren mógł się osuwać, i że zresztą za blisko czarnoksiężnika się znajdował; daremne były ich napomnienia. Rozkazawszy tysiąc pochodni rozpałić, a nakazując, by palono je bez przerwy, rozciągnął się na błotnistym skraju przepaści i usiłował przy pomocy tych światel sztucznych przejrzeć na wskroś ciemności, jakich wszytkie ognie cesarstwa nie zdołały rozproszyć. Niekiedy zdawało mu się, że słyszy głosy, które z głębi przepaści wychodziły, niekiedy wyobrażał sobie, że rozróżnia wśród nich akcent Hindusa; ale były to tylko pomruki wody i huk wodospadów, co wielkimi kaskadami z gór spadały.

Wathek spędził noc całą w tym napiętym oczekiwaniu. Gdy tylko dzień świtać zaczął, schronił się w swym namiocie, i tam, nic do ust nie biorąc, usnął, a obudził się dopiero, gdy ciemności zaczęły skrywać półkulę. Wówczas na nowo zajął swe stanowisko z dnia poprzedniego, i nie opuścił go w ciągu kilku kolejnych nocy. Widziano go, jak chodził wielkimi krokami i z wściekłością spoglądał na gwiazdy, jakby wyrzucał im, że go oszukały.

Nagle, od doliny aż po drugi kraniec Samarry, długie krwawe smugi przecięły błękit nieba; straszne to zjawisko zdawało się dosięgać wielkiej wieży. Kalif chciał wejść na nią; ale siły opuściły go i trwogą przejęty skrył głowę pod połą swej szaty.

Wszystkie te przerażające dziwy podnieciły tylko jego ciekawość. Toteż zamiast w skupieniu się pogрузić, obstawał on przy swoim zamiarze trwania tam, gdzie zniknął Hindus.

Pewnej nocy, kiedy odbywał swój samotny spacer po równinie, księżyc i gwiazdy zaćmiły się nagle; gęste ciemności światłość zastąpiły i usłyszał, jak spod ziemi, która zadrżała, wydobywa się głos giaura wykrzykującego z hukiem głośniejszym od gromu:

— Czy chcesz oddać mi się, wielbić wpływy ziemskie, a wyrzec się Mahometa? Pod tym tylko warunkiem otworzę ci pałac ognia podziemnego. Tam to, pod olbrzymimi sklepieniami, ujrzysz skarby, jakie gwiazdy ci obiecały; stamtąd wzięłem moje szable; tam też to spoczywa Sulejman, syn Dawida, otoczony talizmanami, co świat ujarzmiają.

Kalif, zaskoczony, odpowiedział drżąc cały, ale przecież tonem człowieka, któremu nie-obce są nadnaturalne przygody:

— Gdzie jesteś? Objaw się moim oczom! Rozprosz te ciemności, którymi jestem znużony! Po wypaleniu tyłu pochodni, żeby cię odkryć, można by oczekiwać przynajmniej, że pokażesz swe straszne oblicze.

— Wyrzeknij się więc Mahometa — odparł Hindus — daj mi dowody twej szczerości, albo nigdy więcej nie ujrzysz mnie.

Nieszczęsny kalif wszystko obiecał. Natychmiast niebo rozjaśniło się i w blasku planet, które zdawały się być zaognione, Wathek zobaczył rozwartą ziemię. W głębi ukazał się hebanowy portal. Hindus, przed nim leżący, trzymał w ręce klucz złoty i podzwaniał nim o zamek.

— Ach! — wykrzyknął Wathek — jakże mogę zejść do ciebie karku sobie nie łamiąc? Przyjdź po mnie i otwórz jak najprędzej twą bramę.

— Zaraz, zaraz — odrzekł Hindus — wiedz, że mam wielkie pragnienie i nie mogę otworzyć, dopóki nie zostanie ono ugaszone. Trzeba mi krwi pięćdziesięciorga dzieci: weź je spośród rodzin twych wezyrów i dostojników dworu... Inaczej pragnienie moje ani twa ciekawość nie będą zaspokojone. Wracaj więc do Samarry; przynieś mi to, czego żądam; wrzuć to własnoręcznie do tej przepaści; wówczas zobaczysz.

Po tych słowach Hindus odwrócił się plecami, a kalif, przez demony opętany, postanowił dokonać ohydnej ofiary. Udał zatem, że

odzyskał swój spokój, i wyruszył w stronę Samarry, pośród owacji ludu, który wciąż jeszcze go kochał. Tak dobrze zataił mimowolny swej duszy niepokój, że Karatis i Murakanabad, tak samo jak i inni, zwieść mu się dali. O niczym innym nie mówiono, jak tylko o zabawach i uciechach. Nawet historię kłębu na stół wyłożono, temat, na który nikt dotychczas nie ośmielił się ust otworzyć: wszędzie śmiano się z tego, a przecież nie wszyscy mieli powód do śmiechu.. Niektórzy ciągle jeszcze byli w rękach chirurgów na skutek ran poniesionych w tej pamiętnej przygodzie.

Wathek rad był, że w takim nastroju go przyjmowano, wiedział bowiem, że mogło to doprowadzić go do jego ohydneho celu. Dla wszystkich minę miał łaskawą, a szczególnie dla swych wezyrów i dostojników dworu. Nazajutrz zaprosił ich na wspaniałą ucztę. Powoli spro-wadził rozmowę na ich dzieci i z dobroduszną miną zapytał kto spośród nich miał najładniej-szych chłopców. Natychmiast każdy z ojców spieszy z zapalem swoje ponad innych dzieci wynosić. Spór zaognił się; doszłoby do rękoczynów, gdyby nie obecność kalifa, który udał, że sam chce osąd wydać.

Wkrótce ujrzano, jak przybywa grupa tych biednych dzieci. Tkliwość matczyna przy-stroiła je we wszystko, co tylko mogło uwydatnić ich urodę. Ale podczas gdy ta wspaniała młodzież ściągała wszystkie oczy i serca wszystkie, Wathek przypatrywał im się bacznie z perfidną chciwością i wybrał pięćdziesięcioro z nich dla poświęcenia w ofierze giaurowi. Wtenczas, z miną poczciwca, zaproponował, żeby dla jego małych wybrańców wydać święto na równinie. Winni oni, powiadał, cieszyć się więcej jeszcze niż wszyscy inni z jego powrotu do zdrowia. Dobroć kalifa zachwyca. Wkrótce jest ona znana w całej Samarze. Gotowi się lektyki, konie, wielbłądy; kobiety, dzieci, starcy, młodzież, każdy sadowi się według swego upodobania. Pochód w drogę wyrusza, a za nim wszyscy miejscy i przedmiejsy cukiernicy; lud pieszo tłumnie podąża; wszyscy oni są pełni radości, a nikt nie pamięta, ile ostatnim razem kosztowała poniektórych ta droga.

Wieczór był piękny, powietrze świeże, niebo pogodne; kwiaty wonie swe wydzielają. Przyroda w spoczynku zdawała się radować w promieniach zachodzącego słońca. Blask ich łagodny złocił wierzchołek góry o czterech źródłach; zdobił jej stoki i barwił podskakujące trzody. Słysząc było tylko szmer fontann, dźwięki fujarek i głosy pasterzy, którzy przywoły-wali się na wzgórzach.

Nieszczęsne ofiary, co za chwilę miały być poświęcone w ofierze, przydawały jeszcze uroku tej wzruszającej scenie. Pełne niewinności i ufności, dzieci te pospieszały ku równinie, nie przestając swawolić; jedno biegło za motylami, drugie kwiaty zrywało lub zbierało błyszczące kamyczki; kilkoro oddaliło się lekkim krokiem, by mieć przyjemność dogonienia się i dawania sobie tyśiąca całusów.

Już w dali ukazała się okropna przepaść, na dnie której był hebanowy portal. Podobna do czarnej bruzdy, przecinała ona pośrodku równinę. Murakanabad i jego współtowarzysze wzięli ją za jeden z tych dziwacznych pomysłów, w których lubował się kalif. Nieszczęśnicy! Nie wiedzieli, do czego była przeznaczona. Wathek, który nie pragnął bynajmniej, żeby przy-patrywano jej się ze zbyt bliska, wstrzymuje pochód i każe wielkie koło zakreślić. Strażnicy eunuchów odłączają się, by wymierzyć szranki przeznaczone dla biegów pieszych i żeby przygotować pierścienie, które miały przesywać strzały. Pięćdziesięciu chłopców rozbiera się w pośpiechu; podziw wzbudzają giętkość i wdzięczne zarysy ich delikatnych członków. Oczy wręcz skrzą się radością, która odbija się w źrenicach ich rodziców. Każdy śle swe ży-czenia temu z małych zawodników, który najwięcej go interesuje; wszyscy pełni są uwagi dla gier tych miłych i niewinnych istot.

Kalif uchwycił ten moment, żeby oddalić się od tłumu. Podchodzi do brzegu przepaści i nie bez drżenia słyszy Hindusa, który mówi, zębami zgrzytając:

— Gdzie oni? gdzie oni?

— Giaurze bezlitosny — odrzekł Wathek cały wzburzony — czy nie ma sposobu, żeby zadowolić cię bez ofiary, jakiej się domagasz? Ach! gdybyś widział urodę tych dzieci, ich wdzięk, ich niewinność, sam byłbyś rozczulony!

— Do licha z twoim rozczuleniem, gaduło jeden! — wrzasnął Hindus. — Dawaj, dawaj ich szybko, albo brama moja raz na zawsze zostanie ci zatrzaśnięta!

— Nie krzyczże tak głośno — odciął się kalif, cały zapłoniony.

— Och! co do tego, zgoda — odparł giaur z uśmiechem wampira — nie brak ci przyto-mności umysłu; zdobędę się na cierpliwość przez chwilę jeszcze.

W czasie tego okropnego dialogu gry były w pełnym toku. Skończyły się wreszcie, gdy zmierzch góry okrywał. Wówczas kalif,

stojąc nad brzegiem szczeliny, zawołał z wszystkich sił:

— Niech pięćdziesięciu moich małych wybrańców zbliży się do mnie, a niech podcho-dzą w kolejności sukcesów, jakie w grach swych mieli! Pierwszemu ze zwycięzców dam mo-ją diamentową bransoletę, drugiemu mój naszyjnik szmaragdowy, trzeciemu pas mój z topa-zów, a każdemu z następnych którąś z części mojego stroju, aż do samych pantofli.

Na te słowa owacje podwoiły się; wnoszono pod chmury łaskawość księcia, który rozbierał się do naga, by poddanych swoich zabawić, a młodzież zachęcić. Kalif tymczasem, rozbierając się powoli i wznosząc ramię tak wysoko, jak tylko potrafił, każdą z nagród poły-skiwał; ale podczas gdy jedną ręką podawał ją dziecku, które spieszyło, by ją otrzymać, drugą popychał je w przepaść, gdzie giaur, wciąż pomrukując, powtarzał bez przerwy: Jeszcze! jeszcze!...

Ten straszny manewr był tak szybki, że dziecko, które nadbiegało, nie mogło domyślić się losu tych, co je poprzedziły; a co do widzów, ciemności i odległość przesłaniały im pole widzenia. Wreszcie pięćdziesiątą ofiarę strąciwszy, Wathek pewien był, że giaur przyjdzie po niego i wręczy mu klucz złoty. Już wyobrażał sobie, że jest tak wielki jak Sulejman, i że z niczego zdawać sprawy nie musi, gdy ku jego wielkiemu zaskoczeniu szczelina zamknęła się, a pod stopami poczuł ziemię równie jak zawsze twardą. Wściekłość jego i rozpacz trudno wprost wyrazić. Przeklinał przewrotność Hindusa; wyzywał go najbardziej haniebnymi imio-nami, i tupał nogą, jakby miał być usłyszany. Szamotał się tak, aż całkiem wyczerpany padł na ziemię, jakby czucie wszelkie stracił. Wezyrowie i dostojnicy dworu, stojący bliżej niego niż inni, sądzili wpierw, że usiadł na trawie, by z dziećmi się bawić; ale niepokojem ogarnięci zbliżyli się i zobaczyli kalifa całkiem samego, który rzekł im z błędnym wyrazem twarzy:

— Czego chcecie?

— Dzieci nasze! dzieci nasze! — wykrzyknęli.

— Dobrzy sobie jesteście — odpowiedział im — chcecie mnie zrobić odpowiedzialnym za wypadki życiowe? Wasze dzieci bawiąc się wpadły do przepaści, co tu była, i sam byłbym tam wpadł, gdybym w tył nie odskoczył.

Na te słowa ojcowie pięćdziesięciorga dzieci wydali rozzwierające okrzyki, które matki o jedną oktawę wyżej powtórzyły; podczas gdy wszyscy pozostali, nie wiedząc, dlaczego krzyczano, we wrzasku się

prześcigali. Wkrótce mówiono sobie wszędzie dookoła: — To sztuczka, na którą nabrał nas kalif, by przypodobać się swemu przekłętemu giurowi; ukarżmy go za jego perfidię, pomścimy krew niewinną! Wrzucmy tego okrutnego księcia do kata-rakty i niech nawet pamięć po nim zaginie!

Karatis struchlała słysząc to poruszenie i zbliżyła się do Murakanabada.

— Wezyrze — zwróciła się do niego — straciłeś dwoje ślicznych dzieci, musisz być najbardziej zrozpaczonym ojcem; ale jesteś cnót pełen, ocal swego władcę!

— Tak, pani — odrzekł wezyr — z narażeniem własnego życia spróbuję wyciągnąć go z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł; potem porzucę go jego złowrózbnemu przeznaczeniu.

— Baba Baluku — ciągnęła dalej — stań na czele twych eunuchów; odsuńmy tłum; zawieźmy, jeśli się da, nieszczęsnego księcia do pałacu.

Baba Baluk i jego koledzy po raz pierwszy gratulowali sobie, że pozbawiono ich możliwości ojcostwa. Posłuchali wezyra, a ten, wspomagając ich jak tylko umiał, uporał się wreszcie ze swym szlachetnym zadaniem. Wówczas usunął się, by płakać do woli.

Gdy tylko kalif powrócił, Karatis rozkazała zamknąć wszystkie bramy pałacu. Ale widząc, że rozruchy przybierają na sile i że z wszystkich stron miotano złorzeczenia, rzekła do swego syna:

— Masz czy też nie masz racji, nieważne! Trzeba ocalić twe życie. Schrońmy się do twych apartamentów; stamtąd wydostaniemy się przejściem podziemnym, które tobie tylko i mnie jest znane, i dotrzemy do wieży, gdzie przy pomocy głuchoniemych, co nigdy stamtąd nie wychodzili, na samą górę wejdziemy. Baba Baluk pomyśli, że jesteśmy jeszcze w pałacu, i we własnym interesie będzie bronił wstępu do niego; wtenczas, nie przejmując się radami tego mazgaja Murakanabada, zobaczymy, co najlepiej wypada czynić.

Wathek nie odpowiedział ani słowem na to wszystko, co matka mu mówiła, i pozwolił jej prowadzić się, gdzie chciała; ale idąc, cały czas powtarzał:

— Gdzie jesteś, okropny giurze? Czy nie schrupałeś jeszcze tych dzieci? Gdzie są twe szable, twój klucz złoty, twoje talizmany?

Słowa te pozwoliły Karatis część prawdy odgadnąć. Gdy syn jej uspokoił się trochę we wieży, nie miała trudności z wydobyciem jej

reszty. Daleka od odczuwania jakichkolwiek skrupułów, była ona tak niegodziwa, jak tylko kobieta być potrafi, a znaczy to niemało; gdyż płeć ta ma pretensje do przewyższania we wszystkim tej drugiej, co przewagę jej odbiera. Opowiadanie kalifa nie wzbudziło więc u Karatis zdziwienia ani przerażenia; uwagę jej przyciągnęły tylko obietnice giaura, i rzekła do swego syna:

— Trzeba przyznać, że ten giaur jest trochę krwiożerczy; wszelako moce ziemskie mu-szą być jeszcze straszliwsze; ale obietnice jednego, a dary drugich warte są zapewne trudu dokonania kilku małych wysiłków; żadna zbrodnia nie jest zbyt wielka, kiedy takie skarby ją nagradzają. Skończ więc ze skargami na Hindusa; wydaje mi się, że nie spełniłeś wszystkich warunków, jakie ci postawił. Nie wątpię ani chwili, że należy dokonać ofiary dla duchów podziemnych, i o tym myśleć nam trzeba, gdy tylko rozruchy ucichną; pójdę spokoj przywrócić, a nie zleknię się wyczerpania twych skarbów, bo przecież wkrótce wiele innych mieć będziemy.

Księżna ta, która cudownie opanowała sztukę przekonywania, przeszła z powrotem podziemnym przejściem, a udawszy się do pałacu, ludowi przez okno się ukazała. Przemówiła do niego, podczas gdy Baba Baluk pełnymi garściami złoto rozrzucał. Te dwa środki poskutkowały; rozruchy zostały uciszone: każdy do siebie powrócił, a Karatis skierowała się znowu w drogę ku wieży.

Obwieszczono modły poranne, kiedy Karatis i Wathek wspięli się na niezliczone stopnie, jakie prowadzą na wierzchołek wieży, i jakkolwiek ranek smutny był i deszczowy, po-zostali tam przez czas jakiś. Ta smętna poświata podobała się ich niegodziwym sercom. Gdy ujrzeli, że słońce miało przebić się przez chmury, kazali rozpiąć namiot, żeby schronić się przed jego promieniami. Kalif, nękany znużeniem, myślał przede wszystkim o spoczynku, i w nadziei jakichś znaczących wielce wizji we śnie się pogrążył. Ze swej strony pełna energii Karatis, z częścią swych głuchoniemych za nią zdążających, zeszła, żeby przygotować ofiarę, jaka następnej nocy miała się dokonać.

Po małych stopniach wykutych w masie muru, a znanych jej tylko i jej synowi, zeszła najpierw do studni tajemnych, które skrywały mumie dawnych faraonów, z grobowców ich wyciągnięte: udała się do krużganku, gdzie, pod dozorem pięćdziesięciu niemych i ślepych na prawe oko Murzynek, przechowywano olej z najbardziej

jadowitych węży, rogi nosorożców i drewno o duszącym zapachu, ścięte przez czarnoksiężników w głębi Indii; nie mówiąc o tysiącu innych okropnych osobliwości. Karatis sama tę kolekcję zebrała w nadziei ustalenia dnia któregoś takich czy innych stosunków z mocami piekielnymi, które to ona ubóstwiała, i których znała upodobania. Żeby oswoić się z okropnościami, o jakich przemyślała, została przez czas pewien z Murzynkami, co zezowały uwodzicielsko jedynym okiem, jakie posiadały, i z lubością zerkały na trupie głowy i szkielety: w miarę jak z szaf je wyciągano, wykrzywiały się w straszliwy sposób; i w głębokim podziwieniu dla księżny skomlały ogłuszająco. Wreszcie, krztusząc się przykrym odorem, Karatis zmuszona była opuścić krużganek, ogołociwszy go uprzednio z części jego potwornych skarbów.

Tymczasem kalif nie doczekał się wizji, jakich się spodziewał; ale na tych wysokościach nabrał wilczego apetytu. Zażądał od niemych jedzenia, a zapomniawszy zupełnie, że byli głusi, bił ich, gryzł i szczypał za to, że się z miejsca nie ruszali. Na szczęście dla tych nieszczęsnych stworzeń nadeszła Karatis, aby położyć kres tej scenie tak nieobyczajnej.

— Cóż to, synu mój? — rzekła, cała zadyszana. — Zdawało mi się, że słyszę piski tysiąca nietoperzy, co wypłaszane są z zakamarków jaskini, a to tylko te biedne niemowy, przez ciebie maltretowane. Po prawdzie, nie zasługujesz na wspaniałą prowiant, jaki ci przy-noszę.

— Daj, daj! — wykrzyknął kalif. — Umieram z głodu!

— Na honor! dobry miałbyś żołądek — rzekła — gdybyś potrafił strawić to wszystko, co tu mam.

— Pospiesz się — odparł jej kalif. — Lecz, o nieba! Co za okropności! Co chcesz uczynić? Gotów jestem zwymiotować.

— Proszę, proszę — odrzekła Karatis — nie bądź taki delikatny, pomóż mi ułożyć to wszystko w porządku; zobaczysz, że te same przedmioty, przed którymi tak się wzdragasz, szczęśliwym cię uczynią. Przygotujmy stos na ofiarę tej nocy, i ani nie myśl o jedzeniu, dopóki nie zostanie on wzniesiony. Czyż nie wiesz, że wszystkie uroczyste obrządki mają być ścisłym postem poprzedzone?

Kalif, nie ośmielając się nic odrzec, poddał się boleści i wiatrom, które pustoszyć zaczęły jego wnętrzości, podczas gdy matka jego dalej swoje robiła. Wkrótce na balustradach wieży poustawiano

flaszeczki z olejem węzowym, mumie i szkielety. Stos wznosił się i w trzy godziny doszedł do dwudziestu łokci wysokości. W końcu ciemności nadeszły i Karatis, cała rozradowana, zrzuciła swe odzienie: klaskała w dłonie i wywijiała pochodnią z tłuszczu ludzkiego; głuchoniemi naśladowali ją; ale Wathek, głodem wyczerpany, nie mógł już dłużej wytrzymać i upadł zemdlony.

Już płonące krople pochodni zapalały drewno magiczne, olej zatruty rzucał tysiąc nie-bieskawych płomieni, mumie trawiły się i miały kłęby dymu czarnego i nieprzejrzystego; wreszcie płomienie dotarły do rogów nosorożców, i rozszedł się odór tak zapowietrzony, że kalif w jednej chwili przyszedł do siebie i błędnym okiem przebiegł scenę płomienistą. Roz-palony olej spływał całymi potokami, a Murzynki, które nie przestawały go donosić, przyłączyły swe wycia do okrzyków Karatis. Płomienie stały się tak gwałtowne, a połysk stali odbijał je tak żywo, że kalif, blasku jego ani żaru już dłużej znieść nie mogąc, schronił się pod cesarskim sztandarem.

Przyciągnięci blaskiem, który całe miasto oświetlał, mieszkańcy Samarry w pośpiechu powstawali, powychodzili na swe dachy, zobaczyli, że wieża w ogniu stoi, i półnaczy zbiegli się na placu. Miłość ich dla swego władcy raz jeszcze przebudziła się w owej chwili i przeko-nani, że spali się on żywcem w swej wieży, myśleli już o tym tylko, żeby go ocalić. Muraka-nabad wyszedł ze swego ustronia łyzy ocierając; wszczął alarm, tak jak i inni. Baba Baluk, którego nos bardziej był przywykły do woni czarnoksięskich, domyślał się, że Karatis musiała swoje operacje przeprowadzać, i radził wszystkim trzymać się z daleka. Przewano go tchó-rzem starym i nędznym zdrajcą, sprowadzono wielbłądy i dromadery wodą obarczone; ale jak dostać się do wieży?

Podczas kiedy upierano się, żeby wyważyć jej bramy, wiatr wściekły wzbił się z półno-cnego wschodu i w dal płomień rozprzestrzenił. Lud najpierw cofnął się, później zdwoił swój zapal. Piekielne wonie rogów i mumii, roznosząc się na wszystkie strony, zapowietrzyły atmosferę, i kilka osób, niemal że dusząc się, na wznak upadło. Ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, mówili do sąsiadów: idźcie stąd, pozatruwacie się. Murakanabad, bardziej od innych chory, litość wzbudzał; wszędzie nosy sobie zatykano, ale nic nie wstrzymało tych, którzy bramy wyważali. Stu czterdziestu najbardziej krzepkich i na wszystko zdecydowanych zdołało się z tym

uporać. Dopadli schodów i w ciągu jednego kwadransa szmat drogi przebyli.

Karatis, znakami głuchoniemych i Murzynek zaalarmowana, zbliżyła się do schodów, zstąpiła o kilka stopni i usłyszała liczne głosy, które wołały:

— Oto woda!

Ponieważ dość była, jak na swój wiek, zwinna, szybko na dach powróciła i rzekła do swego syna:

— Chwileczkę, przerwij ofiarę, zaraz będziemy mieli czym jeszcze piękniejszą ją uczynić. Niektórzy, myśląc zapewne, że ogień wybuchł na wieży, odważyli się wyważyć jej bramy, dotąd nienaruszalne, i z wodą przychodzą. Trzeba przyznać, że poczciwi są, iż zapomnieli o wszystkich twoich przewinieniach; ale nieważne! Pozwólmy im wejść, poświęcimy ich giaurowi; naszym niemowom nie brak sił ani doświadczenia: raz-dwa załatwią zmęczonych ludzi.

— Zgoda — odrzekł kalif — byleby już raz skończyć, i żebyśmy mógł zjeść obiad!

Biedacy ci nie zwlekali z pojawieniem się. Zadyszani po tak szybkim wejściu na jedenaście tysięcy schodów, w rozpaczy, że wiadra ich były prawie próżne, nie przybyli oni wcześniej, aż kiedy blask płomieni i odór mumii wszystkie ich zmysły naraz podrażniły; a szkoda, bo nie ujrzeli przyjemnego uśmiechu, z jakim niemowy i Murzynki powróz na szyję im zakładały, ale nie wszystko było stracone, gdyż miłe te osoby cieszyły się niemniej sceną taką. Nigdy nie duszono z większą łatwością; każdy padał bez oporu i wyziewał ducha jednego okrzyku nie wydając; tak że Wathek znalazł się wkrótce otoczony ciałami najwierniejszych swych poddanych, które na stos wrzucono. Karatis, o wszystkim myśląca, osądziła, że wystarczy ich; kazała pozaciągać łańcuchy i pozamykać bramy stalowe, które znajdowały się na przejściu.

Ledwie rozkazy te wykonać zdołano, gdy wieża zadrżała; trupy poznikały, a płomienie z ciemnokarmazynowych, jakimi dotychczas były, nabrały pięknego różowego koloru. Miłe opary zaczęły się roztaczać; marmurowe kolumny wydały harmonijne dźwięki, a roztopione rogi zachwycający zapach rozsiewały. Karatis, w ekstazie, cieszyła się z góry na powodzenie swych zaklęć; podczas gdy niemowy i Murzynki, którym przyjemne zapachy boleści sprawiały, schroniły się w swych norach pomrukując.

Gdy tylko poszli sobie, scena zmieniła się. Stos, rogi i mumie ustąpiły miejsca wspania-lem zastawionemu stołowi. Widniały tam pośrodku całej masy wybornych dań butelki wina i wazy z Fergany, gdzie na śniegu spoczywał sorbet wysmienity. Kalif jak sęp rzucił się na to wszystko i pożarł jagnię z pistacjami; ale Karatis, całkiem innymi troskami zaprzątnięta, z urny filigranowej wyciągnęła zwój pergaminu, którego końca widać nie było, a którego syn jej nawet nie zauważył.

— Skończże, żarłoku — rzekła do niego tonem rozkazującym — i słuchaj wspaniałych obietnic, jakie są ci uczynione. Wtenczas przeczytała na głos, co następuje: — „Wathek, luby mój, przeszedłeś moje oczekiwania; nozdrza me smakowały zapach twoich mumii, twych znakomitych rogów, a zwłaszcza tej krwi muzułmańskiej, jaką na stos wylałeś. Kiedy księżyc w pełni stanie, wyjdź ze swego pałacu, otoczony wszelkimi oznakami twojej władzy; niech po-przedzają cię chóry twych muzyków, przy dźwiękach trąbek i odgłosach kotłów. Każ podążać za sobą elicie twych niewolników, żonom twoim najbardziej ukochanym, z tysiącem wielbłą-dów okazale objuczonych, i skieruj się drogą w kierunku na Persepolis. Tam będę cię oczekiwać; tam diademem Gian Ben Giana opasany, i pławiąc się we wszelkich rodzajach rozkoszy, wejdiesz w posiadanie talizmanów Sulejman i skarbów sułtanów preadamickich; ale biada ci, jeżeli po drodze przyjmiesz jakąkolwiek gościnę”.

Kalif, pomimo swego codziennego zbytku, nigdy jeszcze tak wspaniale nie wieczerzał. Dał się ponieść radości, jaką napawały go tak dobre wieści, i popił sobie od nowa. Karatis winem nie gardziła i dotrzymywała kroku obfitym toastom, jakie on przez ironię za zdrowie Mahometa wznosił. Ten napój przewrotny dopełnił ostatecznie miary ich bezbożnej pewności siebie. Błuźnili; osioł Balaam, pies Siedmiu Śpiących i inne zwierzęta, które znajdują się w raju świętego Proroka, stały się ich skandalicznych żartów przedmiotem. W tym pięknym stanie wesoło zeszli jedenaście tysięcy stopni, kpiąc z twarzy niespokojnych, jakie poprzez okienka wieży na placu ujrzeni, przedostali się do przejścia podziemnego i dotarli do aparta-mentów królewskich. Baba Baluk przechadzał się tam ze spokojną miną, wydając swe rozka-zy eunuchom, co knoty świec przycinali i malowali piękne oczy Czerkiesek.

— Ach! jak widzę, panie, bynajmniej nie spaliłeś się; tak też

sobie właśnie miarkowa-łem.

— Co nas obchodzi, co sobie myślałeś albo co sobie myślisz — wrzasnęła Karatis. — Idź, biegnij do Murakanabada powiedziec mu, że chcemy z nim pomówić, a nade wszystko nie zatrzymuj się, żeby robić twe niesmaczne uwagi.

Wielki wezyr przybył niezwłocznie; Wathek i jego matka przyjęli go z wielką powagą, powiedzieli mu żalosnym tonem, że ogień na wieży został ugaszony, ale że na nieszczęście zapłacili za to swym życiem dzielni ludzie, którzy na pomoc im przybyli.

— Znowu nieszczęścia! — wykrzyknął Murakanabad z jękiem. — Ach! Komandorze Wiernych; święty nasz Prorok rozgniewał się na nas bez wątpienia; tylko ty możesz go ułago-dzić.

— Ułagodzimy go aż nadto — odrzekł kalif z uśmiechem, który nic dobrego nie zwia-stował. — Będziecie mieć dość czasu wolnego, żeby włączyć się po waszych modłach; kraj ten nie służy memu zdrowiu, pragnę zmienić powietrze; góra o czterech źródłach nudzi mnie, trzeba mi napić się strumienia Roknabad, i odświeżyć się w pięknych dolinkach, które on zrasza. Podczas mej nieobecności będziesz zarządzać państwami moimi, zgodnie z radami mej matki, i nie omieszkaj dostarczać jej wszystkiego, czego zapragnie ona dla swych do-świadczeń; bo wiesz dobrze; że wieża nasza pełna jest rzeczy cennych dla nauk.

Wieża nie przypadła bynajmniej do gustu Murakanabadowi; jej budowa nieprzebrane skarby pochłoneła, a nie widział, by umieszczano tam co innego, jak tylko Murzynki, niemo-wy i obrzydliwe mikstury. Nie wiedział też, co myśleć o Karatis, która jak kameleon wszy-stkie kolory przybierała. Przeklęta jej elokwencja często w kozi róg biednego muzułmanina zapędzała; ale jeśli niewiele była ona warta, syn jej był jeszcze gorszy, i ucieszył się, że się go pozbędzie. Poszedł więc lud uspokoić i przygotować wszystko do podróży władcy.

Wathek, w nadziei większego przypodobania się duchom pałacu podziemnego, chciał, by podróż jego miała przepych niesłychany. Na ten cel na prawo i lewo zagarniał dobra swych poddanych, podczas gdy dostojna jego matka odwiedzała haremy i ogołacała je z drogocennych kamieni. Wszystkie szwaczki, wszystkie hafciarki w Samarze i w innych wielkich miastach na pięćdziesiąt mil wkoło pracowały bez wytchnienia nad palankinami, sofami, ka-napami i

lektykami, które miały pochód monarchy uświetniać. Pościągano wszystkie piękne płótna Masulipatana i tyle muślinu zużyto, żeby przyozdobić Baba Baluka i innych czarnych eunuchów, że nie zostało go ani na łokieć w całym Iraku.

Podczas gdy dokonywano tych przygotowań, Karatis wydawała małe wieczery, żeby wkraść się w łaski mocy nieczystych. Zapraszano na nie najstynniejsze z ich urody damy. Wyszukiwała ona przede wszystkim te najbielsze i najdelikatniejsze. Nic nie było równie wytworne jak te kolacyjki; ale kiedy wesołość stawała się ogólna, eunuchowie jej wpuszczali pod stół żmije i opróżniali naczynia wypełnione skorpionami. Łatwo się domyślić, że wszystko to kąsało znakomicie. Karatis udawała, że niczego nie spostrzega, a nikt nie ośmielił się dać jakiegoś znaku po sobie. Gdy widziała, że goście jej mieli ducha wyzionąć, zabawiała się opatrywaniem kilku ran doskonałym „thêriakê” własnego wyrobu; gdyż dobra ta księżna nie znosiła beczynności.

Wathek nie był taki pracowity jak jego matka. Czas swój spędzał korzystając z przyjemności zmysłowych, w pałacu na te cele przeznaczonym. Nie widywano go już wcale w Dywanie ani w meczecie i podczas gdy jedna połowa Samarry za jego przykładem podążała, druga lamentowała nad postępującym zepsuciem obyczajów.

W tym stanie rzeczy powróciło poselstwo, które wysłano do Mekki w bardziej bogo-bojnych czasach. W skład jego wchodził najczcigodniejsi mullahowie. Misja ich znakomicie została spełniona, i przynosili jedną z tych cennych mioteł, co świętą Kaabę oczyściły; był to dar godny naprawdę największego księcia ziemi.

Kalif znajdował się w owej chwili w miejscu mało odpowiednim dla przyjmowania posłów. Posłyszał głos Baba Baluka, który wołał za zasłonami:

— Oto znakomity Idris asz-Szafii i anielski Muhat ed-Din, którzy miotłę z Mekki przynoszą, i którzy ze łzami radości pragną gorąco Jego Wysokości zaprezentować.

— Niech tę miotłę tutaj przyniosą — powiedział Wathek — może okazać się przydatna.

— Jak to? — odpowiedział Baba Baluk, nad sobą nie panując.

— Masz słuchać! — odrzekł kalif — gdyż taka jest moja wola ostateczna; tu właśnie, a nie gdzie indziej, chcę przyjąć tych dobrych

ludzi, którzy w taką ekstazę cię wprawiają.

Eunuch poszedł pomrukując, i powiedział czcigodnemu orszakowi, żeby za nim podążał. Radość święta zapanowała między tymi szanownymi starcami i, choć zmęczeni swą długą podróżą, poszli za Baba Balukiem z żywością, która na cud zakrawała. Zapuscili się we wspaniałe portyki i uznali za nader pochlebne, że kalif nie przyjmował ich, jak zwykłych ludzi, w sali posiedzeń. Wkrótce do wnętrza seraju dotarli, gdzie poprzez bogate zasłony z jedwabiu zdawało im się, że dostrzegają wielkie piękne oczy niebieskie i czarne, co jak błyskawice tam i z powrotem migały. Pełni szacunku i zadziwienia, i swą misją świątobliwą przejęci, zbliżyli się w uroczystym orszaku ku korytarzykom, które ślepo kończyć się zdawały, a które zawiodły ich do małej celi, gdzie oczekiwał ich kalif.

— Komandor Wiernych byłbyż chory? — wyszeptał Idris asz-Szafii do swego towarzysza.

— Jest on z pewnością w swej kapliczce — odrzekł Muhat ed-Din.

Wathek, który dialog ten posłyszał, zawołał:

— Co was to obchodzi, gdzie jestem? Idźcie dalej naprzód.

Wówczas dłoń poprzez zasłonę wyciągnął i świętej miotły zażądał. Każdy ze czią na twarz upadł, jak tylko korytarz na to pozwalał, a nawet w dość pięknym półkolu. Czcigodny Idris asz-Szafii wyciągnął miotłę z płócien złotem przetkanych, które przed wzrokiem pospółstwa ją chroniły, odłączył się od swych współbraci i z namaszczeniem zbliżył się do rzekomego ołtarzyka. Jakież zdziwienie, jakie przerażenie go ogarnęło! Wathek ze śmiechem szyderczym wyrwał mu miotłę, którą trzymał drżącą dłonią, i celując w kilka pajęczyn u błękitnego sufitu zawieszonych zmiotł je i ani jednej nie zostawił.

Skamieniali starcy nie śmieli podnieść brody swej znad ziemi. Wszystko ujrzeni, gdyż Wathek niedbale zasłonę odciągnął, która oddzielała ich od niego. Łzy ich marmur zwilżyły. Muhat ed-Din zemdlął z żalu i ze zmęczenia, podczas gdy kalif, przewracając się na wznak, śmiał się i w dłonie klaskał bez miłosierdzia.

— Mój drogi czarnuchu — zwrócił się wreszcie do Baba Baluka — idź uraczyć tych dobrych ludzi moim winem z Sziraz. Ponieważ mogą się pochwalić, że znają mój pałac lepiej niż ktokolwiek inny, trudno byłoby więcej jeszcze honorów im uczynić.

Te słowa mówiąc, w nos rzucił im miotłę i poszedł sobie śmiać się razem z Karatis. Baba Baluk zrobił, co mógł, żeby starców pocieszyć, ale dwóch z nich, najsłabszych, zmarło natychmiast; inni, nie chcąc więcej światła oglądać, kazali się zanieść do swych łoż, których nigdy już nie opuścili.

Następnej nocy Wathek i jego matka wspięli się na szczyt wieży, żeby gwiazdy o podróż zapytać. Znajdując konstelacje w najbardziej korzystnych układach, Wathek chciał na-cieszyć się widokiem tak szczęśliwym. Wieczerzał wesoło na platformie, poczerńiałej jeszcze od ohydnej ofiary. W czasie posiłku posłyszano wielkie wybuchy śmiechu, które rozległy się w powietrzu, a on wysnuł z nich nader korzystną wróżbę.

W pałacu wszystko wrzało. Świateł przez całą noc nie .gaszono; hałas kowadeł i mło-tów, głosy kobiet i ich straży, które haftując śpiewały, wszystko to przerywało ciszę przyrody i podobało się nieskończenie Wathekowi, któremu zdawało się, że wstępuje już w triumfie na tron Sulejmana.

Lud nie mniej od niego był zadowolony. Każdy ręki do dzieła przykładał, żeby przy-spieszyć chwilę, która miała przynieść wyzwolenie z tyranii władcy tak dziwaczego.

W dzień, który poprzedzał wyjazd tego szalonego księcia, Karatis uznała za swój obo-wiązek przypomnieć mu rady swoje. Nie przestawała ona powtarzać dekretów tajemniczego pergaminu, których wyuczyła się na pamięć, i zalecała przede wszystkim nie zachodzić abso-lutnie do nikogo w czasie podróży.

— Wiem dobrze — mówiła — żeś łąsy na smaczne potrawy i młode dziewczęta; ale musisz zadowolić się twymi starymi kucharzami, którzy są najlepsi w świecie, a pamiętaj, że w twoim seraju wędrownym znajduje się co najmniej trzy tuziny ładnych twarzy, z których Baba Baluk nie ściągnął jeszcze zasłony. Gdyby obecność moja nie była tu niezbędna, czuwa-łabym osobiście nad twym postępowaniem. Wielką chęć miałabym zobaczyć ten pałac pod-ziemny, pełen przedmiotów ciekawych dla ludzi naszego pokroju; nie ma nic, co bym tak jak jaskinie lubiła; zdecydowane jest moje upodobanie do trupów i mumii, a założę się, że znaj-dziesz tam samą kwintesencję tego rodzaju. Nie zapominaj więc o mnie, i gdy tylko znaj-dziesz się w posiadaniu talizmanów, które dać ci mają królestwo szlachetnych metali i otwo-rzyć środek ziemi, nie omieszkać przysłać

tu jakiegoś zaufanego ducha, żeby zabrać mnie razem z moją pracownią. Olej z tych węży, co je na śmierć zaszczypałam, będzie świetnym prezentem dla giaura naszego, który smakować musi w tego rodzaju łakociach.

Gdy Karatis zakończyła tę piękną przemowę, słońce zaszło za górę o czterech źródłach, i miejsca księżycowi ustąpiło. Gwiazda ta natenczas w swej pełni wydała się nadzwyczajnej urody oczom kobiet, eunuchów i paziów, którzy płonęli chęcią podróży. Miasto rozbrzmiewało okrzykami radości i fanfarami. Widać było tylko same pióra nad baldachimami powiewające i pióropusze błyszczące w łagodnym świetle księżyca. Wielki plac przypominał niemal kwietnik przyozdobiony najpiękniejszymi tulipanami Wschodu.

Kalif w uroczystych szatach, wspierając się na swym wezyrze i na Baba Baluku, zszedł z wielkiego podjazdu wieży. Tłum cały czołem uderzył, a wielbłądy z przepychem załadowane poklekały przed nim. Widok ten był wspaniały, i sam kalif zatrzymał się, by go podziwiać. Wszystko trwało w pełnej czci ciszy: trochę tylko zamieszania wnosili okrzyki eunuchów z tylnej straży. Czujni ci słudzy dostrzegli, że kilka klatek z damami zanadto przechylało się na jedną stronę; jacyś zuchowie zręcznie tam się wślizgnęli; ale rychło wypłoszono ich stamtąd, z łaskawym dla chirurgów seraju poleceniem.

Takie małe przypadki nie zmąciły majestatu tej sceny wspaniałej; Wathek z porozumiewawczą miną pokłonił się księżycowi; a doktorzy prawa zgorszyli się takim bałwochwaltwem, tak samo jak wezyrowie i dostojnicy zgromadzeni, by nacieszyć się ostatnimi spojrzeniami władcy swego. Wreszcie ze szczytu wieży trąby i trąbki hasło odjazdu dały. Choć w pełnym były akordzie, zdawało się przecież, że można tam pewne dysonanse zauważyć: była to Karatis, która hymny do giaura śpiewała, a której Murzynki i niemowy basowały nieustannie. Dobrzy muzułmanie myśląc, że słyszą brzęczenie tych nocnych owadów, co złą wróżbę przynoszą, błagali Watheka, żeby miał staranie o swą świętą osobę.

Wielki sztandar kalifatu zostaje wywieszony; dwadzieścia tysięcy lancy błyszczą w rzędzie za nim; a kalif, depcząc majestatycznie po złotych tkaninach wzdłuż jego przejścia rozpostartych, wsiada do lektyki pośród owacji swych poddanych. Wówczas pochód otwiera się w porządku największym i w ciszy tak głębokiej, że słyszeć się dało pasikoniki w zaroślach równiny Katul. Zrobiono dobrych sześć mil

przed jutrznią, i gwiazda poranna błyszczała jeszcze na firmamencie, kiedy liczny ten orszak dotarł na brzeg Tygrysu, gdzie postawiono namioty, żeby przez resztę dnia wypoczywać.

Trzy dni upłynęły w taki sam sposób. Czwartego niebo w gniewie tysiącem ogni wybuchło: piorun hałas czynił nieznośny, i drżące Czerkieski tuliły się do swych szpetnych strażników. Kalif począł żałować Pałacu Zmysłów; miał chęć wielką schronić się w dużym miasteczku Ghuchiffar, którego namiestnik przybył częstować go napojami chłodzącymi. Ale na swe tabliczki spojrzawszy, odważnie pozwolił się zmoczyć aż do suchej nitki, pomimo nalegań swych faworyt. Przedsięwzięcie jego nazbyt na sercu mu leżało, a wielkie nadzieje odwagę jego podtrzymywały. Wkrótce orszak zabłądził; sprowadzono geografów, by dowiedzieć się, gdzie się znajdowano; ale ich zmoczone mapy były w równie godnym pożałowania stanie, jak i ich osoby; zresztą od Haruna ar-Raszida nie dokonywano żadnej większej podróży: nie wiedziano więc zupełnie, w którą stronę udać się należało. Wathek, który posiadał wielką wiedzę o położeniu ciał niebieskich, nie wiedział, gdzie był na ziemi. Grzmiał głośniej jeszcze niż piorun, a od czasu do czasu słowem szubienicznym rzucał, co nie brzmiało zbyt mile dla literackiego ucha. W końcu, nie chcąc kierować się już niczym innym jak tylko własnymi pomysłami, rozkazał przejść przez skały urwiste i obrać drogę, która, jak sądził, winna była zaprowadzić go w cztery dni do Roknabad; i mimo rad odmiennych decyzji nie cofnął.

Niewiasty i eunuchowie, którzy nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widzieli, drżeli na widok gardzieli górskich, i wydawali żałosne okrzyki widząc okropne przepaści, jakie obrzeżały stromą ścieżkę, gdzie się znajdowano. Noc zapadła zanim orszak szczyt najwyższej skały osiągnął. Wówczas wiatr gwałtowny rozniósł na strzepy kotary palankinów i klatek, i został biedne damy narażone na wszystkie burzy szwały. Mroczność nieba wzmagala grozę tej nocy straszliwej; toteż słychać było tylko pazziów pomiaukiwania i płacze pańienek.

Na domiar nieszczęścia posłyszano przerażające porykiwania i wkrótce w gąszczu leśnym dostrzeżono oczy pałające, które należeć mogły tylko do diabłów albo tygrysów. Zwadowcy, którzy przygotowywali drogę jak najlepiej mogli, i część straży przednich, zostali pożarci, zanim się opamiętali. Zamieszanie było krańcowe; wilki, tygrysy i inne mięsożerne zwierzęta, przez swych towarzyszy

sproszone, ze wszystkich stron się zbiegały. Zewsząd trzask kości słyszano, a w powietrzu skrzydeł trzepotanie przerażające; sępy bowiem do dzieła przystępować zaczęły.

Trwoga dotarła wreszcie do wielkiego korpusu wojsk otaczających monarchę i jego se-raj, a będącego w odległości dwóch mil. Wathek, przez swych eunuchów troskliwie pielęgnowany, niczego jeszcze nie zauważył; spoczywał niedbale na jedwabnych poduszkach w swej przestronnej lektyce, i podczas gdy dwóch małych paziów, bielszych niż emalia Franguistanu, od much go opędzało, spał snem głębokim, a śniło mu się, że widzi, jak błyszczą skarby Sulejmana. Krzyki jego żon nagle ze snu go wyrwały, i zamiast gaura z jego kluczem złotym ujrzał Baba Baluka całego drżącego ze strachu i przerażonego.

— Sire — wykrzyknął wierny sługa najpotężniejszego z monarchów — nieszczęście doszło do szczytu; dzikie bestie, które nie miałyby więcej poszanowania dla ciebie aniżeli dla osła zdechłego, napadły na twe wielbłądy. Trzydzieści spośród najbogaciej załadowanych zostało pożartych razem z ich przewodnikami; twoi piekarze, kucharze i ci, co nieśli twe zapasy żywności, tego samego losu doznali, i jeśli święty nasz Prorok nie będzie nas miał w swej pieczy, to nic już więcej w życiu naszym nie zjemy.

Na słowo „jeść” kalif stracił wszelkie opanowanie; ryczał i wielkie ciosy sobie zadawał. Baba Baluk widząc, że pan jego zupełnie głowę stracił, zatkał sobie uszy, żeby przynajmniej zgiełku seraju uniknąć. A ponieważ ciemności zwiększały się, a pomruk stawał się coraz to głośniejszy, powziął bohaterską decyzję.

— Dalej, panie i współbracia moi — zawołał z wszystkich swych sił — przyłóżmy ręki do dzieła, skrzyszmy ogień jak najszybciej! Nikt nie powie, że Komandor prawowitych Wiernych za żer zwierzętom niewiernym służy.

Choć niemało było kapryśnych i przekornych między tymi pięknymi, w tej sytuacji wszystkie stały się uległe. W jednym okamgnieniu ujrano, jak we wszystkich kłatkach błysnęły płomyki. Dziesięć tysięcy pochodni zostało natychmiast zapalonych, wszyscy uzbroili się w wielkie woskowe świece, i sam kalif to samo uczynił. Pakuły w oleju zmoczone i u końca długich żerdzi zapalone tyle blasku rzucały, że skały wydawały się jasne jak w biały dzień. W powietrzu pełno było kłębowisk iskier, a że wiatr pędził je wszędzie,

ogień zajął pa-procie i zarośla. W krótkim czasie pożar szybko się rozszerzył; zobaczono, jak z wszystkich stron zrozpaczone węże wypelzały, porzucając swe schronienia z przerażającym sykiem. Konie rozdymając chrapy rżały, grzebały kopytem i wierzgały bez opamiętania.

Wtenczas zapalił się jeden z lasów cedrowych, wzdłuż których jechano, a gałęzie nad drogą zwisające przekazały płomienie cienkim muślinom i pięknym płótnom, które klatki dam pokrywały i musiały one z nich wysiąść, na ryzyko złamania sobie karku. Wathek, miotając tysiącem przekleństw, zmuszony był tak jak inni swe święte stopy na ziemi postawić.

Nigdy nie wydarzyło się nic podobnego; damy, które nie umiały dać sobie rady, wpadały do błota, pełne żalu, wstydu i wściekłości. Ja, chodzić, mówiła jedna, ja, moczyć moje stopy, mówiła inna, ja, brudzić me suknie, trzecia wykrzykiwała. Wstrętny Baba Baluk, mówiły one wszystkie naraz, plugastwo z piekła rodem! Na co ci były potrzebne pochodnie? Niechby nas raczej tygrysy były pożarły, niżby miano nas widzieć w stanie, w jakim jeste-śmy! Otośmy zgubione na zawsze. Ani jednego tragarza w armii, jednego poganiacza wielbłądów nie będzie, co nie mógłby się pochwalić, że widział część naszego ciała lub, co gorsza, twarzy naszych. Te słowa mówiąc, najskromniejsze rzucały się twarzą w koleiny. Te, które były trochę bardziej odważne, za złe to miały Baba Balukowi; ale on, który znał je dobrze, i czuł, co się święci, uciekł ile sił w nogach ze swymi współtowarzyszami, potrząsając pochodniami i bijąc w kotły.

Pożar rozsiewał światło tak jasne jak słońce w najpiękniejszy upalny dzień lata, i zrobiło się odpowiednio gorąco. Och! szczyt okropności! Widziano kalifa jak zwykłego śmiertelnika ubłoconego! Zmysły jego drętwieć zaczynały; już nie mógł iść dalej. Jedna z jego żon etiopskich (gdyż miał ich wielką rozmaitość) zlitowała się nad nim, wpół go pochwyliła, załadowała go sobie na ramiona, i widząc, że ogień szerzył się po obu stronach, pomknęła jak strzała, pomimo ciężaru swego brzemienia. Inne damy, którym niebezpieczeństwo władzę w nogach przywróciło, ruszyły za nią ile sił; strażnicy puścili się galopem za nimi, a stajenni popędzili do biegu wielbłądy, jedni przez drugich koziołkując.

Przybyli wreszcie do miejsca, gdzie dzikie bestie rzeź zaczęły; ale były one zbyt rozsądne na to, żeby nie uciec na odgłos tak

straszliwego harmideru, powieczerzawszy sobie zre-sztą cudownie. Baba Baluk zgarnął przecież ze dwie lub trzy. najtłustsze sztuki, które tak się opchały, że ruszać się już nie mogły; zabrał się jak należy do obdzierania ich ze skóry; a że znaleziono się już na tyle daleko od pożogi, by upał dał się tylko umiarkowanie a przyjemnie odczuwać, postanowiono postój zrobić w miejscu, gdzie się zatrzymano. Zgarnięto strzępy barwnych płócien, zakopano szczątki posiłku wilków i tygrysów; zemszczono się na kilku tuzinach sępów, które miały już dość i po przeliczeniu wielbłądów, co sól amoniakową spokojnie przygotowywały, jako tako damy w klatkach pousadzano, i postawiono namiot cesar-ski na terenie najmniej wyboistym.

Wathek wyciągnął się na swych puchowych piernatach i zaczął przychodzić do siebie po wstrząsach Etiopki: twardy był to wierzchowiec! Odpoczynek przywrócił mu jego zwykły apetyt; zażądał jedzenia; lecz, niestety! te chleby delikatne, które w srebrnych piecach wypie-kano dla jego królewskiego podniebienia, te ciastka smakowite, te bursztynowe konfitury, te wina z Sziraz, te doskonałe winogrona, co rosną na brzegach Tygrysu: wszystko znikło! Baba Baluk nie miał nic do zaofiarowania poza pieczystym z wielkiego wilka, pieczeni duszonej z sępów, gorzkimi ziołami, grzybami jadowitymi, ostami i korzeniami pokrzyku, które jątrzyły gardło, a język na kawałki szatkowały. Zamiast wszelkich likierów miał tylko kilka butelek lichej wódki, którą kuchcikowie ukryli w swych papuciach. Łatwo pojąć, że posiłek równie obrzydliwy musiał doprowadzić Watheka do rozpacz: zatykał sobie nos i przeżuwał z okropnymi grymasami. Jednakże zjadł sporo i usnął, żeby lepiej strawić.

Tymczasem wszystkie chmury zniknęły znad horyzontu. Słońce było rozpalone, a promienie jego odbijane przez skały przypiekały kalifa, pomimo firanek, które go osłaniały. Rój muszek cuchnących i w kolorze piołunu kłuł go aż do krwi. Nie mogąc dłużej wytrzymać, zerwał się gwałtownie, i wyszedłszy z siebie, nie wiedział, co czynić, i szamotał się z wszy-stkich sił, podczas gdy Baba Baluk kontynuował chrapanie, pokryty tymi nieznośnymi inse-ktami, co zalecały się do jego nosa. Mali paziowie odrzucili swe wachlarze na ziemię. Byli półżywi i zaczęli swymi gasnącymi głosami czynić gorzkie wyrzuty kalifowi, który pierwszy raz w swym życiu kilka słów prawdy posłyszał.

Wówczas począł złorzeczyć giaurowi, a nawet wygłosił kilka czułych słów do Maho-meta.

— Gdzież jestem? — wykrzykiwał. — Cóż to za okropne skały i doliny ciemności? Czyżbyśmy do straszliwego Kaf przybyli? Czy Simurg przyjdzie za chwilę wyłupić mi oczy, by pomścić moją bezbożną wyprawę?

Mówiąc to, wystawił głowę przez otwór namiotu; lecz niestety! jakież rzeczy oczom jego się objawiły! Z jednej strony równina czarnego piasku, której końca widać wcale nie by-ło; z drugiej skały pionowe, pokryte całe tymi wstrętnymi ostami, które wciąż jeszcze piekły go w język. Wydało mu się przecież, że między jeżynami i krzakami ciemnymi odkrywa kilka kwiatów olbrzymich; mylił się: były to tylko kawałki płócien kolorowych i strzepy jego wspaniałego orszaku. Jako że było kilka szczelin w skale, Wathek ucha nadstawił w nadziei usłyszenia szmeru jakiegoś potoku. Ale posłyszał tylko głucho pomruki ludzi, którzy, podróż swą przeklinając, domagali się wody. Było nawet wśród nich kilku, co krzyczeli tuż przy nim:

— Po co zostaliśmy tu sprowadzeni? Czyżby nasz kalif miał jakąś inną wieżę do zbudo-wania? Czy też to Ifryci bezlitośni, których Karatis tak miłuje, mają tutaj swą siedzibę?

Imię Karatis przypomniało Wathekowi o pewnych tabliczkach, które mu ona była dała, radząc uciec się do nich w beznadziejnych chwilach. Podczas gdy je przerzucał, usłyszał okrzyk radości i klaskanie w dłonie; zasłony namiotu rozchyliły się i ujrzał Baba Baluka ze zdążającą za nim grupą swych faworyt. Przeprowadzili mu dwoje karzełków na łokieć wyso-kich, niosących kosz wielki pełen melonów, pomarańczy i granatów, którzy srebrnym głosem śpiewali następujące słowa: „Zamieszkujemy na szczycie tych skał chatkę z trzciny i sitowia utkaną; orły zazdroszczą nam naszej siedziby. Źródło dostarcza nam, czego Abdast wyma-ga, i nigdy dzień nie przejdzie, byśmy nie wygłosili modlitw przepisanych przez świętego naszego Proroka. Miłujemy cię, o Komandorze Wiernych! Pan nasz, dobry emir Fahr ed-Din, również cię miłuje; czci on w tobie wikariusza Mahometa. Choć tacy mali jesteśmy, ma on do nas zaufanie; wie, że serca nasze są równie szlachetne, jak nędzne są ciała; Umieścił nas tutaj, by wspomagać tych, co błakają się w tych smutnych górach. Byliśmy, zeszłej nocy, w naszej małej celi zajęci lekturą świętego Koranu, gdy porywcze wiatry zgasiły nagle

wszystkie nasze światła i wstrząsnęły naszym mieszkaniem. Dwie godziny w najgłębszych ciemnościach upłynęły; wówczas usłyszeliśmy w dali dźwięki, które wzięliśmy za dzwonki kalifa, co skały przemierza. Wkrótce okrzyki, porykiwania i dźwięki cymbałów uderzyły nasze uszy. Zmroze-ni trwogą pomyśleliśmy, że Deggial, ze swymi aniołami zagłady, przybywał rozsiać swe plagi na ziemię. Wśród tych rozmyślań płomień krwistego koloru wzbity się nad horyzont i w kilka chwil potem zostaliśmy przysypani iskrami. Nie panując nad sobą wobec tego straszliwego widoku, padliśmy na kolana, otwarliśmy księgę przez błogosławione umysły podyktowaną i w świetłości płomieni, co nas otaczały, odczytaliśmy werset, który mówi: „Ufność swą tylko w miłosierdziu Nieba winno się pokładać; nie ma innego ratunku, jak tylko święty Pro-rok; sama góra Kaf zdrzeć może, moc Allacha jedna jest niewzruszona”. Po wymówieniu słów tych spokój niebiański owładnął naszymi duszami; zapanowała głęboka cisza, a uszy nasze wyraźnie usłyszały w powietrzu głos, który mówił: „Słudzy Sługi mojego wiernego, włóżcie wasze sandały i zejście do szczęśliwej doliny, którą zamieszkuje Fahr ed-Din, powiedzcie mu, że okazja znakomita nadarza się, by zadośćuczynić pragnieniu jego gościnnego serca: sam Komandor prawowitych Wiernych błądzi w tych górach; trzeba iść mu z pomocą. Radośnie posłuchaliśmy anielskiego zlecenia; a pan nasz, pełen nabożnego zapachu, własnymi dłońmi zebrał te melony, te pomarańcze, te granaty; podąża on za nami ze stu droma-derami załadowanymi najbardziej przejrzystymi wodami jego fontann; przybywa ucałować skraj twej świętej sukni i błagać cię, byś wstąpił do jego skromnego domostwa, które osadzone jest w tych jałowych pustyniach jak szmaragd w ołowiu”.

Karzelki przemówiwszy w ten sposób, stały z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, i w głębokim milczeniu.

W czasie tej pięknej przemowy Wathek dorwał się do kosza i na długo przed jej końcem owoce rozpląły się w jego ustach. W miarę jak je zajadał, stawał się pobożny, recytował modlitwy, i prosił jednocześnie o Koran oraz cukier.

Gdy znajdował się on w tym stanie ducha, tabliczki, które był położył w chwili ukazania się karzelków, wpadły mu naraz w oczy; wziął je do ręki: ale myślał, że padnie jak długi, widząc tam wielkimi czerwonymi literami, nakreślone dłonią Karatis, te słowa, które były

tak a propos, że dreszczem przejmowały:

„Strzeż się pilnie starych doktorów i ich małych posłańców, co mają zaledwie jeden łokieć; nie dowierzaj ich bogobojnym oszukaństwow; zamiast zajadać ich melony, ich samych na rożen nadzieć należy. Jeśli jesteś tak słaby, by do nich wstępować, brama pałacu podziemnego zatrzaśnie się, a ruch jej w strzepy cię obróci. Pluć się będzie na twoje ciało, nietoperze gniazdo sobie z twego brzucha uczynią”.

— Co znaczy ten galimatias straszliwy? — wykrzyknął kalif. — Czy mam skonać z pragnienia w tych piaszczystych pustyniach, podczas gdy mogę pokrzepiać się w szczęśliwej dolinie melonów i ogórków? Przeklęty niech będzie giaur wraz ze swą hebanową bramą! Dość mnie naraził na wyczekiwanie; zresztą, kto mi będzie prawa wydawał? Nie mam wstępować do nikogo, mówi się; ech! czy mógłbym wstąpić do jakiegoś miejsca, co do mnie nie należy?

Baba Baluk, który ani jednego słowa nie tracił z tego monologu, przyklasnął mu z całej-go serca, a wszystkie damy były jego zdania; co się nigdy jeszcze dotychczas nie przydarzyło.

Ugoszczono serdecznie karzełków, czułości im wyświadczone, usadzono jak trzeba na kwadratowych skrawkach atlasu, podziwiano symetrię ich ciałek, wszystko chciano zobaczyć, przynoszono im breloki i słodycze; ale oni odmawiali wszystkiego z podziwu godną powagą. Wspięli się na tron kalifa i sadowiąc się na jego ramionach do obydwu uszu modlitwy mu szeptali. Języczki ich biegały jak liście osiki, i cierpliwość Watheka była już na wyczerpaniu, kiedy owacje oddziałów obwieściły przybycie Fahr ed-Dina, ze stoma starcami, tylomaż Koranami i tylomaż dromaderami. Czym prędzej zabrano się do ablucji obrzędowych i recytowania „Bismillahi” *. Wathek pozbył się swych uprzykrzonych monitorów, i tak samo po-stąpił, gdyż dłonie mu pały.

Dobry emir, który pobożny był aż do przesady, i wielki pochlebca, wygłosił przemowę pięć razy dłuższą i pięć razy nudniejszą od tej, jaka była dziełem jego małych poprzedników. Kalif, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wykrzyknął:

— Na miłość Mahometa! skończmy, drogi mój Fahr ed-Dinie, i chodźmy do twej zielennej doliny zajadać piękne owoce, z jakich Niebo dar ci uczyniło.

Na słowo „chodźmy” w drogę wyruszono; starcy posuwali się

cokolwiek powoli, ale Wathek ukradkiem małym paziom nakazał spać ostrogami dromadery. Koziółki, jakie zwie-rzęta te fikały, i zakłopotanie ich osiemdziesięcioletnich jeźdźców były tak zabawne, że we wszystkich klatkach same tylko wybuchy śmiechu słyszano.

Zjechano przecież szczęśliwie do doliny po wielkich schodach, jakie emir w skale wy-kuć kazał; i już słyszeć się dały strumyków szemrania i szelest liści. Orszak zapuścił się wkrótce w ścieżkę obsadzoną krzewami kwiecistymi, co wiodła do wielkiej palmy, której ga-łęzie ocieniały obszerny budynek z kamienia ciosanego. Gmach ten uwieńczony był dziewię-cioma kopułami i ozdobiony tyłomaż portalami z brązu, na których w emalii wyryte były słowa następujące: „Tutaj jest przytułek pielgrzymów, schronienie podróżników i skarbnica tajemnic wszystkich krajów świata”.

Dziewięciu paziów, pięknych jak dzień i przystojnie odzianych w długie suknie z lnu egipskiego, trwało przy każdych drzwiach. Przyjęli oni pochód w sposób szczerzy i tkliwy. Czterech najmilszych posadziło kalifa na wspaniały „tecthrvan”; czterech innych, mniej tro-chę powabnych, zajęło się Baba Balukiem, który zadrzał z radości, widząc szczęśliwe schro-nienie, jakie miało mu się dostać; o resztę pochodu zadbali pozostali paziowie.

Gdy wszystko, co płci męskiej, zniknęło, brama wielkiego ogrodzenia, które widniało na prawo, obróciła się na swych harmonijnych zawiasach, i wyszła z niej młoda osoba o zręcznej kibici i o blond popielatej czuprynie zdanej na podmuchy zefirów zmierrchu. Grupa dziewcząt, do plejad podobnych, zdążyła za nią na palcach. Podbiegły wszystkie do namio-tów, gdzie były sułtanki i panna, chyląc z wdziękiem czoło, rzekła im:

— Moje urocze księżniczki, czekamy na was; ustawiliśmy łoża wypoczynkowe i usła-łyśmy wasze apartamenty jaśminem: żaden owad nie spłoszy snu z waszych powiek; przepę-dzimy je milionem piór. Pójdźcie więc, miłe damy, orzeźwić wasze delikatne stopy i wasze członki z kości słoniowej w kąpieli z wody różanej; a w łagodnym świetle lamp wonnych słu-gi nasze będą wam baśnie opowiadać.

Sułtanki z wielką chęcią przyjęły te uprzejme zachęty i podążyły za panną do haremu emira; ale trzeba opuścić je na chwilę, żeby powrócić do kalifa.

Książę został zawiedziony pod wielką kopułę, oświetloną

tysiącem lamp z górskiego kryształu. Tyleż waz z tego samego materiału, wypełnionych wyśmienitym sorbetem, skrzyło się na wielkim stole, gdzie znajdowała się obfitość dań delikatnych. Były tam między innymi

* „Bismillahi” (arab.) — „W imię Allacha” (przyp. red.).

ryż z mlekiem migdałowym, zupa szafranowa i jagnię w śmietanie, które kalif lubił bardzo. Zjadł go ponad miarę, świadczył wiele dowodów przyjaźni emirowi w wesołości swego serca i sprowokował do tańca karzełki na przekór ich chęciom; albowiem mali ci dewoci nie śmieli nie usłuchać Komandora Wiernych. Wreszcie rozciągnął się na sofie i spokojniej aniżeli kiedykolwiek w swym życiu zasnął.

Panowała pod tą kopułą pełna spokoju cisza, której nie mąciło nic poza odgłosem szczęk Baba Baluka, który pokrzepiał się po smutnym poście, do jakiego w górach był zmu-szony. Jako że za dobry miał humor, żeby iść spać, a w bezczynności trwać nie lubił, zapra-gnął natychmiast wybrać się do haremu, aby zatroszczyć się o swe damy, zobaczyć, czy nata-rły się balsamem z Mekki, czy brwi i wszystkie inne rzeczy były u nich w porządku; jednym słowem, żeby otoczyć je wszystkimi drobnymi usługami, jakich one wymagały.

Szukał długo, lecz bezskutecznie, bramy, która do haremu wiodła. Ze strachu, żeby nie obudzić kalifa, nie ośmielił się zawołać, a nikt nie poruszył się w pałacu. Zaczął tracić nadzie-ję, że upora się ze swym zadaniem, kiedy posłyszał jakiś drobny szmer; były to karzełki, które do swego dawnego zajęcia powróciły i po raz dziewięćset dziewiąty w swoim życiu Koran odczytywały. Zaprosiły Baba Baluka bardzo uprzejmie na posłuchanie; ale ten całkiem inne sprawy miał do załatwienia. Karzełki, choć zgorszone trochę, wskazały mu drogę do aparta-mentów, jakich poszukiwał. Aby dotrzeć tam, przebyć trzeba było sto bardzo mrocznych korytarzy. Zapуścił się w nie po omacku i na koniec, u skraju długiego chodnika, posłyszał miłą paplaninę niewiast, a serce jego rozradowało się.

— Ach! ach! nie śpicie jeszcze — wykrzyknął, sadząc wielkimi susami — nie sądzcie, że urząd mój porzuciłem; zatrzymałem się tylko, aby dojeść resztek po naszym panu.

Dwóch czarnych eunuchów, słysząc, że tak głośno ktoś mówi, w pośpiechu odłączyło się od pozostałych z pałaszami w dłoniach; ale wkrótce powtarzano wszędzie wkoło:

— To tylko Baba Baluk, to tylko Baba Baluk!

W istocie, czujny ten strażnik zbliżał się do zasłony z jasnowiśniowego jedwabiu, po-przez którą prześwitywało miłe dla oka oświetlenie, co pozwoliło mu dostrzec wielki basen z ciemnego porfiru, w kształcie owalnym. Sute kotary, w wielkich fałdach opadające, basen ten otaczały; były one na w pół rozsunięte i ujrzeń dawały gromadki młodych niewolnic, wśród których Baba Baluk rozróżnił swoje dawne podopieczne, które wyciągały niedbale ramiona, jak gdyby objąć chciały w uścisku wodę pachnącą, żeby siły po przebytych trudach odzyskać. Spojrzenia omdlewające i czułe, słówka do ucha szeptane, uśmiechy czarujące, jakie małym zwierzeniom towarzyszyły, słodki zapach róż, wszystko rozkosz wzbudzało, przed którą sam Baba Baluk zaledwie mógł się obronić.

Zachował on jednakże powagę głęboką i mentorskim tonem nakazał piękne z wody po-wyciągać i uczesać je porządnie. Podczas kiedy wydawał te rozkazy, młoda Nur en-Nahar, córka emira, wdzięczna jak gazela i figlarności pełna, dała znak jednej ze swych niewolnic, żeby spuścić po cichutku wielką huśtawkę, co jedwabnymi sznurami do powały była przywiązana. W czasie gdy manewru tego dokonywano, dawała ona znaki przy pomocy palców kobietom, które znajdowały się w kąpieli, a które, złe bardzo, że zmuszano je do opuszczenia tego miejsca rozkoszy, włosy swe spletywały, żeby przysporzyć zajęcia Baba Balukowi i tysiąc innych figli mu płałały.

Gdy Nur en-Nahar ujrzała, że gotów jest on cierpliwość utracić, zbliżyła się do niego z przesadnym szacunkiem i rzekła:

— Panie, nie godzi się, aby szef eunuchów kalifa, władcy naszego, trwał tak na stojąco; zechciej wypoczynek dać swej szlachetnej osobie na sofie tej, która połamię się z żalu, jeśli nie będzie mieć zaszczytu przyjęcia ciebie.

Urzeczony tymi pochlebstwami, Baba Baluk odrzekł szarmancko:

— Rozkoszy żrenic moich, przyjmuję zaproszenie, co spływa z warg twoich słodkich; a prawdę rzekłszy, zmysły moje omdlewają z zachwytu, w jaki wprawia mnie blask promienny twych wdzięków.

— Spocznij więc — podjęła piękna, usadzając go na rzekomej sofie.

Nagle maszyna ruszyła jak błyskawica. Wszystkie niewiasty, widząc wówczas, o co chodziło, nago z kąpieli wybiegły i jak szalone wzięły się do wprawiania w ruch huśtawki. Wkrótce przebiegła ona

całą przestrzeń bardzo wyniosłej kopuły, aż nieszczęsny Baba Baluk oddechu złapać nie mógł. Niekiedy powierzchnię wody muskał, a niekiedy o mało co nosem o szyby nie zawadzał; na próżno wypełniał powietrze krzykami swymi, głosem co dźwięk garnka rozbitego przypominał; wybuchy śmiechu nie pozwalały go usłyszeć.

Nur en-Nahar, upojona młodością i wesołością, przyzwyczajona była do eunuchów zwykłych haremów; ale wśród nich nigdy nie widziała równie nieznośnego ani królewskiego, toteż zabawiała się najlepiej ze wszystkich. W końcu zaczęła przedrzeźniać wiersze perskie, i zaśpiewała:

— „Słodki i biały gołąbek, co lata na wietrze, posyła perskie oko swej wiernej towarzy-szce. Słowiku szczebioczący, jestem twą różą; zaśpiewaj mi zatem kilka miłych kupletów”.

Sułtanki i niewolnice, żartami tymi rozochoczone, tak rozbujały huśtawkę, że sznur urwał się, a biedny Baba Baluk jak żółw wpadł na środek basenu. Zrobił się krzyk ogólny; otwarło się dwanaście par drzwiczek, których widać nie było, i czym prędzej umknęto, wrzucając mu całą bieliznę na głowę i światła pogasiwszy.

Godny litości zwierz, aż po szyję w wodzie i tonący w ciemnościach, nie mógł wygrze-bać się z tej całej gmatwaniny, którą go zarzucono, a ku swej wielkiej boleści ze wszystkich stron wybuchy śmiechu słyssał. Na próżno szamotał się, żeby wyjść z kąpieli; brzeg, cały zwilżony oliwą, która z rozbitych lamp wyciekła, utrudniał mu wyjście powodując, że wpadał na powrót z głuchym dźwiękiem, co echem odbijał się pod sklepieniem. Za każdym upadkiem przekłete wybuchy śmiechu na sile przybierały. Uwierzywszy, że miejsce to zamieszkiwane jest przez demony raczej aniżeli kobiety, postanowił nie szukać już więcej po omacku i trwać smętnie w kąpieli. Jego humor znalazł swe ujście w monologach pełnych złorzeczeń, z których złośliwe sąsiadki jego, razem niedbale leżące, nie traciły ani słowa. Ranek zaskoczył go w tym pięknym stanie; wyciągnięto go wreszcie spod stosu bielizny, na wpół uduszonego i przemoczonego aż do szpiku kości. Kalif kazał go szukać wszędzie, a on stawiał się przed swym władcą kulejąc i szcękając zębami. Wathek widząc go w tym stanie wykrzyknął:

— Co ci się stało? Któż to cię chciał zamarynować?

— A tobie, panie, kto kazał zachodzić do tego kiepskiego schronienia? — spytał z kolei Baba Baluk. — Czy godzi się, żeby taki

jak ty monarcha pakował się wraz ze swym harem do dziadygi emira, co nie wie, jak żyć należy? Rozkoszne panienki, które sobie tu trzyma! Pomyśleć proszę, że rozmoczyły mnie jak grzanekę, i zmusiły do tańca przez noc całą na ich przeklętej huśtawce niczym linoskoczka. Oto piękny przykład dla twych sułtanek, którym tyle przyzwoitości wpoilem!

Wathek, nie rozumiejąc nic z tej mowy, kazał sobie objaśnić całą historię. Ale zamiast żałować biedaka, zaczął się śmiać z wszystkich sił z miny, jaką ten musiał mieć na huśtawce. Baba Baluk był tym oburzony, i niewiele brakowało, by nie stracił całego należnego szacunku.

— Śmieć się, panie, śmieć — mówił — chciałbym, żeby ta Nur en-Nahar tobie również jakiegoś figla spletała; dość jest złośliwa na to, by ciebie samego nie oszczędzić.

Słowa te nie zrobiły najpierw większego na kalifie wrażenia; ale wspomniał je sobie wkrótce potem.

Pośród tej rozmowy nadszedł Fahr ed-Din, żeby zaprosić Watheka na uroczyste modlitwy i obrzędowe obmywania, jakie dokonywały się na rozległej łące, zroszonej nieskończoną obfitością strumyków. Kalif uznał, że woda jest świeża, ale modlitwy nudne śmiertelnie. Rozrywki dostarczał mu jednak tłum kalenderów, fakirów i derwiszów, którzy chodzili po łące tam i z powrotem. Bramini, fakirzy i inni świętoszkowie, co przywędrowali z wielkich Indii, a podróżując, zatrzymywali się u emira, bawili go nade wszystko. Wszyscy oni mieli ja-kieś błazeństwo ulubione: jedni łańcuch wielki ciągnęli; inni orangutana; jeszcze inni uzbrojeni byli w dyscypliny; wszyscy z cudowną zręcznością swe różnorodne ćwiczenia wykonywali. Widziało się takich, co wspinali się na drzewa, jedną stopę w powietrzu trzymali, kołysali się nad małym płomieniem i sprawiali sobie ciągi bez litości. Byli też tacy, co robactwo umiłowali sobie, a ono niegorzej na ich pieszczoty odpowiadało. Ci wędrowni świętoszkowie wzbudzali mdłości u derwiszów, kalenderów i fakirów. Zgromadzono ich w nadziei, że obecność kalifa uleczy ich z szaleństwa, i na wiarę muzułmańską nawróci, lecz, niestety! pomyłono się bardzo. Zamiast kazania im wygłaszać, Wathek jako błaznów ich potraktował, kazał im przekazywać swoje uszanowanie dla Wiszu i dla Ixhora i przyczepił się do grubego starca z wyspy Cejlon, który był ze wszystkich

najśmieszniejszy.

— Ach ty! — mówił do niego — na miłość twych bogów, zróbże jakiś podskok, co by mnie ubawił.

Obrażony starzec płakać zaczął; a że szkaradnym był płaczkiem, Wathek plecami obrócił się do niego. Baba Baluk, który z parasolem za kalifem podążał, powiedział mu wówczas:

— Niechże Wasza Wysokość uważa na tą hołotę. Co za szatański pomysł, żeby ją tu zgromadzić! Trzebaż było, by wielki monarcha uraczony takim przedstawieniem został, w antraktach z talapoinami, bardziej niż psy parszywymi! Gdybym był tobą, panie, kazałbym zrobić wielkie ognisko i oczyściłbym ziemię z emira, jego haremu i całej jego menażerii.

— Zamilcz! — odrzekł Wathek. — Wszystko to bawi mnie nieskończenie i nie opu-szczę łąki, dopóki nie zapoznam się z wszystkimi zwierzętami, jakie ją zamieszkują.

W miarę jak kalif posuwał się naprzód, przedstawiano mu wszelkiego rodzaju godnych litości ludzi: ślepców, półślepców, panów bez nosa, panie bez uszu, a wszystko to, żeby uwydatnić wielkie miłosierdzie Fahr ed-Dina, który wraz ze swymi staruchami rozdzielał wkoło kataplazmy i plastry. W południe wspaniały występ kalek nastąpił, a wkrótce ujrzano na łące najładniejsze towarzystwa ułomnych. Ślepi po omacku szli razem ze ślepyimi, kulawi razem utykali, a jednoręcy gestykulowali jedynym ramieniem, jakie im pozostało. Na brzegach wielkiego wodospadu znajdowali się głusi; ci, co byli z Pegu, mieli najpiękniejsze i najszersze uszy, a cieszyli się przyjemnością słyszenia mniej jeszcze aniżeli pozostali. W miejscu tym wyznaczyły sobie również spotkanie wszelkiego rodzaju nadmiary, jak wole, garby, a nawet rogi, z których pewne zachwycający miały połysk.

Emir pragnął wydać ucztę uroczystą, świadcząc wszelkie możliwe honory swojemu znakomitemu gościowi: przeto rozciągnąć kazał na murawie mnóstwo skór i obrusów. Podano „pilan” we wszystkich kolorach i inne ortodoksyjne dla dobrych muzułmanów dania. Ale Wathek, który haniebnie był tolerancyjny, nie omieszkał zarządzić małych ohydnych dań, co zgorszenie u wiernych wzbudzały. Wkrótce całe święte zgromadzenie zabrało się w najlepsze do jedzenia. Kalif miał ochotę to samo uczynić i mimo wszelkich napomnień szefa eunu-chów pragnął spożyć obiad na miejscu.

Natychmiast emir rozkazał w cieniu wierzb stół usta-wić. Na pierwsze danie podano ryby złowione w rzece, co płynęła po złotym piasku u stóp wysokiego wzgórza. Smażono te ryby w miarę jak je wylawiano, i przyprawiano je następnie delikatnymi ziołami z góry Sina; gdyż u emira wszystko było równie bogobojne jak i wyśmie-nite.

Zbliżano się do deserów świątecznych, gdy nagle melodyjne dźwięki lutni, przez echa powtarzane, słyszeć się dały na wzgórzu. Kalif, ogarnięty przyjemnym zdziwieniem, podniósł głowę i na twarz upadł mu bukiet jaśminu. Tysiąc wybuchów śmiechu nastąpiło po tej małej psocie, a poprzez zarośla ujrzano wytworne kształty kilku dziewcząt, które jak sarenki w pod-skokach biegły. Zapach ich wonnych fryzur dotarł aż do Watheka; przerwał on swój posiłek i oczarowany rzekł do Baba Baluka: — Czy to hurysy ze sfer swych zstąpiły? Czy widzisz tę, co kibić ma tak wysmukłą, co z taką nieustraszonością biegnie nad brzegami przepaści, i gło-wę odwracając, zdaje się zważać tylko na pełne gracji fałdy swej sukni? Z jakąż uroczą niecierpliwością wyrywa swój woal zaroślom! Byłaż by to ona ta, co mi rzuciła jaśminy?

— Och! ona to bez wątpienia — odparł Baba Baluk — i jest to dziewczyna zdolna do zrzucenia ciebie samego, panie, w dół ze skały; rozpoznaję ją: to moja dobra przyjaciółka Nur en-Nahar, która tak miłutko użyczyła mi swojej huśtawki. Dalej, drogi mój panie i władco — ciągnął on łamiąc gałąź wierzby — pozwól mi pójść i wychłostać ją za uchybienie ci czci należnej. Emir nie będzie mógł skarżyć się na to; gdyż, oddawszy sprawiedliwość jego pobo-żności, wielki błąd popełnia trzymając stado pannaic w górach; ostre powietrze zanadto myśli ożywia.

— Spokój, bluźnierco! — rzekł kalif. — Nie mów w ten sposób o tej, co serce moje w te góry porwała. Uczynź raczej tak, by oczy moje w jej mogły się wpatrywać, i abym mógł wdychać jej oddech słodki. Z jakimż wdziękiem i z jaką lekkością biegnie drząc ona w tych wiejskich ostępach!

Mówiąc te słowa, Watek wyciągnął ku wzgórzom ramiona i wznosząc oczy z podnie-ceniem, jakiego nigdy jeszcze dotychczas nie odczuwał, starał się nie stracić z widoku tej, co go już usidliła. Ale bieg jej równie trudny był do prześledzenia jak lot jednego z tych lazurowych motyli Kaszmiru, tak rzadkich i tak ruchliwych.

Watek, nie zaspokojony widokiem Nur en-Nahar, pragnął

również słyszeć ją, i chciwie ucha nadstawiał, by głos jej uchwycić. Wreszcie usłyszał, jak mówiła do jednej ze swych współtowarzyszek, szepcząc za krzaczkiem, skąd bukietem rzuciła:

— Przyznać trzeba, że jeśli chodzi o kalifa, to jest na co popatrzeć: ale mój mały Gul-szenruz jest o wiele miłszy; jeden splot jego delikatnej czupryny wart więcej niż wszystkie bogate hafty Indii; wolę, by jego ząbki figlarnie palec mi ścisnęły, aniżeli najpiękniejszy pierścień ze skarbcza cesarskiego. Gdzie zostawiłaś go, Sutlemémé? Dlaczego go tu nie ma?

Zaniepokojony kalif rad by bardzo coś więcej posłyszeć; ale ona oddaliła się wraz ze wszystkimi swymi niewolnicami. Zakochany monarcha ścigał ją oczyma, aż znikła mu z pola widzenia, i pozostał niczym podróżnik zabłąkany pośród nocy, któremu chmury zasłaniają konstelację, co go wiedzie. Kurtyna ciemności zdała się spaść przed nim; wszystko wydało mu się bezbarwne, wszystko zmieniło w jego oczach wygląd. Szmer strumienia wnosił mela-nholię w jego duszę, a łzy jego spadały na jaśminy, które przyciskał do swej gorejącej piersi. Zebrał nawet kilka kamyków, żeby przypominały mu miejsce, gdzie poczuł pierwsze porywy namiętności, jakiej dotąd jeszcze nie zaznał. Tysiąc razy próbował oddalić ją od siebie, ale na próżno. Niemoc słodka zalewała jego duszę. Spoczywając na brzegu strumienia nie zaprzestał kierować swych spojrzeń ku niebieskawemu wierzchołkowi góry.

— Co ukrywasz mi, skało bezlitosna! — wykrzyknął. — Co się z nią stało? Co dzieje się w twoich pustkowiach? Nieba! Być może błądzi ona w tejże chwili po twych grotach ze swym szczęśliwym Gulszenruzem!

Tymczasem rosa wieczorna osiadać zaczęła. Emir, niespokojny o zdrowie kalifa, kazał przybliżyć lektykę cesarską: Wathek bezwiednie pozwolił się w niej umieścić i zawiedziony został do wspaniałego salonu, gdzie przyjmowany był dnia poprzedniego.

Ale zostawmy kalifa, pogrążonego w swej nowej namiętności, i podążmy skałami za Nur en-Nahar, która odnalazła w końcu swego drogiego małego Gulszenruza. Ten Gulszenruz był dzieckiem jedynym Alego Hassana, brata emira, i najdelikatniejszym, najmilszym stwo-rzeniem wszechświata. Od dziesięciu lat ojciec jego podróżował po morzach nieznanych i po-wierzył go był opiece Fahr ed-Dina. Gulszenruz umiał pisać w różnych językach z nadzwyczajną

sprawnością i malował na welinie najpiękniejsze świata arabeski. Głos jego był słodki, a zestrajał go z lutnią w sposób niezwykle wzruszający. Kiedy opiewał miłość Madinuna i Lajli, lub też jakichś innych nieszczęsnych kochanków tych starodawnych wieków, łzy zalewały oczy jego słuchaczy. Wiersze jego (gdyż, jak Madinun, był on poetą) wzbudzały tęskno-tę i rzewność, bardzo dla niewiast niebezpieczne. Wszystkie też kochały go do szaleństwa; i chociaż miał lat trzynaście, nie zdołano go jeszcze wyrwać z haremu. Jego taniec był lekki niczym tych puszków, którymi bujają w powietrzu wiosenne zefiry. Ale jego ręce, które splatały się tak wdzięcznie z ramionami dziewcząt, kiedy tańczył, nie umiały miotać grotów na polowaniu ani ujarzmić rumaków ognistych, jakie wuj jego karmił na swych pastwiskach. Strzelał wszakże z łuku dłonią pewną, w biegach byłby wyprzedził wszystkich młodzieńców, gdyby ośmielono się zerwać więzy jedwabne, co wiązały go z Nur en-Nahar.

Dwaj bracia przeznaczyli wzajemnie swe dzieci jedno drugiemu, a Nur en-Nahar kochała swego kuzyna więcej niż własne oczy, piękności niepospolitej. Obydwoje mieli te same upodobania i zajęcia, te same spojrzenia tęskne i przeciągłe, te same czupryny, tę samą biel skóry; a kiedy Gulszenruz ustroił się w suknie swej kuzynki, wydawał się bardziej od niej kobiecy. Jeśli przypadkiem wychodził na chwilę z haremu, żeby iść do Fahr ed-Dina, to robił to z nieśmiałością jelonka, co odłączył się od łani. Z tym wszystkim dość miał figlarności na to, by kpić sobie z uroczystych dziadków; toteż zbesztali go oni kilkakrotnie bez litości. Wtedy rzucał się z uniesieniem w głąb haremu, zaciągał za sobą wszystkie zasłony i chronił się szlochając w ramionach Nur en-Nahar. Kochała ona wady jego więcej niż kiedykolwiek cnoty kochano.

Otóż Nur en-Nahar, zostawiwszy kalifa na łące, pobiegła z Gulszenruzem w góry usłane murawą, co osłaniały dolinę, gdzie Fahr ed-Din umieścił swą siedzibę. Słońce zniknęło z horyzontu; a dwojgu tych młodych, których wyobraźnia żywa była i zapalna, wydawało się, że widzą w pięknych obłokach kopuły Szaddukianu i Ambribadu, gdzie mają swą siedzibę hurysy. Nur en-Nahar usiadła na zboczu wzgórza i trzymała na swoich kolanach pachnącą głowę Gulszenruza. Ale przybycie nieprzewidywane kalifa i przepych, jaki go otaczał, już wzburzył jej duszę gorejącą. Porwana przez swą próżność, nie mogła się powstrzymać, żeby nie ścia-gnąć na siebie uwagi tego księcia.

Dobrze wiedziała, że pozbierał on jaśminy, jakie mu rzuciła, i jej miłość własna mile była tym pogłaskana. Toteż zmieszała się ogromnie, gdy Gulszen-ruzowi przyszło do głowy zapytać, co stało się z bukietem, który zebrał dla niej. Za całą odpowiedź złożyła na czole jego pocałunek i podnosząc się gwałtownie zaczęła przechadzać się wielkimi krokami we wzburzeniu i niepokoju, które trudno wprost opisać.

Tymczasem noc się zbliżała: złoto czyste zachodzącego słońca ustąpiło miejsca krwistej czerwieni; kolory jak z rozżarzonego wielkiego pieca padały na zapłonione policzki Nur en-Nahar. Biedny mały Gulszenruz spostrzegł to. Zadrżał aż do głębi swej duszy widząc, że jego miła kuzynka była tak poruszona.

— Chodźmy stąd — rzekł do niej nieśmiało — jest coś złowrogiego w niebiosach. Te tamaryszki drżą bardziej niż zazwyczaj, a ten wiatr mrozi mi serce. Dalej, chodźmy stąd, wieczór dzisiejszy jest jakiś posepny.

Mówiąc te słowa, chwycił Nur en-Nahar za rękę i pociągnął ją ze wszystkich swych sił. Ta podążyła za nim, nie wiedząc sama, co robi. Tysiąc dziwnych myśli przetaczało się w jej umyśle. Przeszła obok wielkiej kępy wiciokrzewu, który lubiła ogromnie, nie zwracając nań żadnej uwagi; Gulszenruz tylko, chociaż biegł, jakby mu dzika bestia po piętach stąpała, nie mógł powstrzymać się, by nie zerwać kilku jego gałązek.

Dziewczęta, widząc ich tak chyżo nadbiegających, myślały, że zgodnie z ich zwyczajem pragnęli oni tańczyć. Zaraz ustawiły się w koło i wzięły się za ręce; ale Gulszenruz bez tchu przewrócił się na mech. Wówczas konsternacja zapanowała w tej swawolnej grupce; Nur en-Nahar, nieomal że nie panując nad sobą, i zmęczona równie natłokiem swych myśli, jak i biegiem, który właśnie za sobą miała, rzuciła się na niego. Chwyciła jego małe złodowaciałe dłonie, ogrzewała je na swej piersi i nacierała mu wonną pomadą skronie. Wreszcie przyszedł on do siebie i spowijając głowę w suknie Nur en-Nahar błagał ją, by nie wracać jeszcze do haremu. Bał się, że zostanie skarcony przez Szabana, swego wychowawcę, starego pomarszczonego eunucha, który nie należał do najmilszych. Przykry ten strażnik uznałby za karygodne, że zakłócił codzienną przechadzkę Nur en-Nahar. Cała grupa usiadła więc wkoło na trawniku i rozpoczęło tysiące gier dziecięcych. Eunuchowie usadowili się w

pewnej odległości i między sobą rozprawiali. Wszyscy byli radośni, Nur en-Nahar pozostała jednak zamyślona i przybita. Niańka spostrzegła to i zabrała się do opowiadania zabawnych historyjek, w których Gulszenruz, co zapomniał już o wszystkich swych niepokojach, znajdował wielką przyjemność. Śmiał się, klaskał w dłonie i płał sto małych figli całemu towarzystwu, eunu-chom nawet, których chciał koniecznie zmusić, by za nim pobiegli, na przekór ich wiekowi i zgrzybiałości.

Tymczasem księżyc wzeszedł; wieczór był cudny i wszystkim było tak dobrze, że postanowiono wieczerzać na świeżym powietrzu. Jeden z eunuchów pobiegł po melony; inni strząsnęli deszcz świeżych migdałów z drzew, co ocieniały miłą gromadkę. Sutlemémé, która celowała w przyrządzaniu sałatek, napełniła wielkie porcelanowe miski najdelikatniejszymi ziołami, ptasimi jajeczkami, kwaśnym mlekiem, sokiem cytrynowym i plasterkami ogórków, i częstowała tym daniem wokoło, nabierając wielką łyżką z Koknes. Ale Gulszenruz, spoczy-wający swym zwyczajem na łonie Nur en-Nahar, zaciskał swe małe purpurowe wargi, gdy Sutlemémé coś mu podsuwała. Nie chciał on przyjmować od nikogo, tylko z ręki swej kuzynki, i wpijał się w jej usta niczym pszczoła, co upaja się sokiem kwiatów.

Podczas wesołości, która stała się ogólna, ujrano światłość na wierzchołku najwyższej góry. Światłość ta rozsiewała odblask łagodny i wzięto by ją za księżycową, gdyby gwiazda ta nie znajdowała się na horyzoncie. Widok ten spowodował ogólne poruszenie; prześcigano się wzajem snując domysły. Nie mógł to być efekt pożogi, gdyż światło było jasne i niebie-skawe. Nie widziano nigdy meteora tego koloru ani tej wielkości. W jednej chwili dziwna ta światłość stawała się blada; w chwilę potem ożywiała się. Najpierw myślano, że jest ona utwierdzona na szczycie skały; nagle rzuciła go i zabłysła w krzaczastych zaroślach palmo-wych; stamtąd, przesuwając się wzdłuż potoków, zatrzymała się wreszcie u wylotu wąskiej i mrocznej dolinki. Gulszenruz, którego serce drżało na wszystko, co było nieprzewidziane i nadzwyczajne, zatrząsł się ze strachu. Pociągnął Nur en-Nahar za suknię i błagał ją, by wrócić do haremu. Niewiasty zrobiły to samo; ale ciekawość córki emira była zbyt silna, wzięła ona górę. Na wszelki wypadek postanowiła pobiec za zjawiskiem.

Podczas gdy rozprawiano w ten sposób, ze światła wystrzelił grot ognisty tak olśniewający, że wszyscy uciekli wydając głośnie okrzyki. Nur en-Nahar też kilka kroków wstecz uczyniła; wkrótce zatrzymała się i podeszła w stronę zjawiska. Kula utknęła w dolince i pło-nęła tam w majestatycznej ciszy. Nur en-Nahar krzyżując wówczas dłonie na swej piersi zawahała się chwil kilka. Strach Gulszenruza, głębokie osamotnienie, w jakim znalazła się po raz pierwszy w swym życiu, cisza podniosła nocy, wszystko przyczyniało się do tego, by ją napawać lękiem. Przeszło tysiąc razy gotowa była zawrócić; ale kula ognista wciąż przed nią się jawiła. Nieprzepartym impulsem pchana, zbliżyła się do niej poprzez ciernie i krzaki kolczaste, i wbrew wszelkim przeszkodom, które winny były w sposób oczywisty kroki jej powstrzymać.

Gdy znalazła się u wylotu dolinki, gęste ciemności nagle ją otoczyły, i nie dostrzegła nic poza słabym błyskiem, który był znacznie oddalony. Huk wodospadów, szelest gałęzi palmowych i nieustanne żałobne krzyki ptactwa, co pnie drzew zamieszkiwało; wszystko w duszę jej postrach wносиło. Co chwila zdawało jej się, że depta stopami jakiegoś gada jado-witego. Przyszły jej na myśl historie, jakie opowiadano jej o złośliwych Divach i Upiorach. Po raz drugi się zatrzymała; ale ciekawość raz jeszcze wzięła górę, i odważnie skierowała się krętą ścieżką, co prowadziła ku iskrze. Do tej chwili wiedziała, gdzie się ona znajduje; zaledwie trochę dalej zapuściła się w ścieżkę, kiedy się zagubiła.

— Biada — mówiła do siebie — że też nie jestem w tych apartamentach bezpiecznych i tak dobrze oświetlonych, gdzie wieczory me spędzałam z Gulszenruzem! Drogie dziecię; jakżebyś drżał, gdybyś tak jak ja błądził w tej głębokiej samotności!

Mówiąc to, wciąż dalej szła naprzód. Nagle oczom jej ukazały się stopnie w skale wykute; światło mocniej zabłysnęło i ukazało się nad jej głową w najwyższych regionach góry. Śmiało wspięła się na schody. Kiedy dotarła na pewną wysokość, wydało jej się, że światło wychodzi z pewnego rodzaju jamy; dały się słyszeć stamtąd dźwięki żałosne i melo-dyjne: były to jakby głosy, co tworzyły pewien typ pieśni, podobnej do hymnów, jakie śpiewa się nad grobami. Hałas, jak gdyby łaźni napełnianych, uderzył jednocześnie jej uszy. Od-słoniły się przed nią wielkie gorejące świece woskowe, tu i ówdzie w szczelinach osadzone. Ten przepych trwogą ją zmroził: jednakże dalej

się wspinała; subtelny a silny zapach, jaki świece te wydzielały, ożywił ją i dotarła do wylotu grotu.

W tym stanie jakiejś ekstazy rzuciła okiem do środka i zobaczyła wielką kadź złotą, napełnioną wodą, której słodkie opary skraplały się na jej twarzy w rosę esencji różanej. Łagodna symfonia rozbrzmiewała w jaskini; na brzegach kadzi znajdowały się stroje króle-wskie, diademy i czaple pióra, całe lśniące od karbunkułów. Podczas gdy podziwiała te wspaniałości, muzyka ustała i słyszeć dał się głos, co mówił:

— Dla jakiego monarchy zapalono te świece, przygotowano tę kąpiel i te stroje, co władcom tylko przystają, nie nad samą ziemią, ale i nad mocami talizmanów panującym?

— To dla uroczej córki emira Fahr ed-Dina — odpowiedział głos drugi.

— Jak to? — rozpoczął znów pierwszy. — Dla tej trzpiotki, co czas swój trwoni z dzieckiem płochym, w zniewieściałości pograżonym, i co nigdy niczym innym jak tylko pożalowania godnym małżonkiem stać się może!

— Cóż mi tu opowiadasz! — podjął głos inny. — Mogłaby ona takimi głupstwami się zabawiać, kiedy kalif płonie miłością do niej, władca świata, ten, co ma posiąść skarby sułtanów preadamickich, księżę, który ma sześć stóp wzrostu, i którego oko przenika aż do szpiku kości młode dziewczęta? Nie, nie potrafiłaby ona odrzucić namiętności, która chwałą ją okrywa, i pogardzi swoją dziecinną zabawką; wówczas wszystkie skarby, jakie są w tym miejscu, tak samo jak karbunkuł Giamszyda, do niej będą należeć.

— Myślę, że masz słuszość — rzekł głos pierwszy — i idę do Istakharu pałac ognia podziemnego przygotować na przyjęcie dwojga małżonków.

Głosy umilkły, pochodnie zgasły, ciemność najgłębsza nastąpiła po promieniejącej jasności, a Nur en-Nahar znalazła się wyciągnięta jak długa na sofie, w haremie swego ojca. Klasnęła w dłonie, i natychmiast nadbiegli Gulszenruz i niewiasty, którzy byli w rozpacz, że im się zgubiła, i wysłali eunuchów, żeby wszędzie jej szukać. Szaban również się zjawił i złązał ją porządnie.

— Ty mała impertynentko — powiedział — albo masz klucze podrobione, albo kochana jesteś przez jakiegoś dzinna, który wytrychów ci użycza. Zaraz zobaczę, jaka jest moc twoja; wchodź

szybko do pokoju z dwoma okienkami i nie licz na to, że Gulszenruz będzie ci tam towarzyszyć: dalej, ruszaj, Pani, zamknę cię tam na dwa spusty.

Na te pogroźki Nur en-Nahar podniosła swą dumną głowę i zwróciła na Szabana swe oczy czarne, o wiele szerzej rozwarte od dialogu w cudownej grocie.

— Idź — rzekła mu — do niewolnic w ten sposób przemawiaj; ale poważaj tę, która urodziła się, by prawa wydawać i wszystko swemu panowaniu poddawać.

I ciągnęła dalej w tym tonie, gdy dały się słyszeć okrzyki:

— Oto kalif! Oto kalif!

Wszystkie zasłony natychmiast zostały zaciągnięte, niewolnice padły na twarz w po-dwójnych szeregach, a biedny mały Gulszenruz schował się pod tronem. Najpierw ujrzano, jak wyłania się sznur czarnych eunuchów, ciągnących za sobą długie suknie muślinowe złotem haftowane; trzymali oni w dłoniach małe kadzielnice, co rozsiewały słodki zapach drzewa aloesowego. Następnie stapał z powagą Baba Baluk, który nie był zbyt z wizyty zadowolony i głową potrząsał. Wathek, wspaniale odziany, tuż za nim podążał. Chód jego był pełen godności i swobody; podziwiać należałoby jego postawę, nawet gdyby nie był władcą świata. Zbliżył się do Nur en-Nahar i gdy wpatrzył się w jej oczy promieniste, które tylko w przelocie widział, nie mógł zupełnie nad sobą zapanować. Nur en-Nahar spostrzegła to i spuściła je natychmiast; ale zmieszanie urody jej dodawało, i jeszcze więcej serce Watheka rozpałiło.

Baba Baluk, znawca w podobnych sprawach, zobaczył, że trzeba robić dobrą minę do złej gry, i dał znak wszystkim, żeby poszli sobie. Przebiegł wszystkie kąty sali, żeby posprawdzić, czy nikt się tam nie ukrył, i zobaczył stopy, co wystawały spod tronu. Baba Baluk pociągnął za nie bez ceremonii ku sobie, a widząc, że należały one do Gulszenruza, zarzucił go sobie na ramiona i zabrał go ze sobą, pozwalając sobie wobec niego na tysiąc obrzydliwych pieszczot. Mały krzyczał i szamotał się, policzki jego stały się czerwone jak kwiat grnatu, a oczy wilgotne błyszczały oburzeniem. W rozpacz swej rzucił Nur en-Nahar tak znaczące spojrzenie, że kalif dostrzegł to i powiedział:

— Byłbyż to, pani, twój Gulszenruz?

— Władco świata — odpowiedziała — oszczędź mojego kuzyna,

którego niewinność i słodycz nie zasługują na gniew twój.

— Bądź spokojna, pani — odrzekł Wathek z uśmiechem — jest on w dobrych rękach; Baba Baluk kocha dzieci i nie chodzi nigdy bez drażetek czy konfitury.

Córka Fahr ed-Dina, głęboko zmieszana, pozwoliła zabrać Gulszenruza, nie rzekłszy ani słowa. Jednakże falowanie piersi Nur en-Nahar zdradzało wzburzenie jej serca. Wathek wprowadzony tym został w uniesienie i dał się porwać całemu szaleństwu swej najwyższej na-miętności; stawiano mu więcej niż słaby opór, kiedy emir, nagle wchodząc, rzucił się do stóp kalifa, czołem do ziemi.

— Komandorze Wiernych — rzekł do niego — nie zniżaj się do twej niewolnicy.

— Nie emirze — odparł Wathek — ja wznoszę ją raczej aż do siebie. Ogłaszam ją moją żoną, a chwała twego rodu rozciągnie się z pokolenia na pokolenie.

— Niestety! Panie — odrzekł Fahr ed-Din wrywając sobie kilka włosów z brody — skróć raczej dni twego wiernego sługi, niżby miał nie dotrzymać swego słowa. Nur en-Nahar przyrzeczona jest uroczyście Gulszenruzowi, synowi mego brata Alego Hassana; serca ich są złączone; słowo wzajemne jest dane: trudno pogwałcić tak święte zobowiązania.

— Jak to? — odpowiedział porywczoko kalif. — Chcesz wydać tę piękność boską małżonkowi bardziej jeszcze niż ona kobiecemu! Myślisz, że pozwolę wędznąć jej wdzięk w dłoniach tak nędznych i słabych! Nie, w moich to ramionach ma ona spędzić swe życie; taki jest mój kaprys! Odejdź i nie zakłócaj tej nocy, którą poświęcam kultowi jej powabów.

Oburzony emir wyciągnął wówczas swój pałasz, podał go Wathekowi i nadstawiając swej szyi rzekł do niego stanowczym tonem:

— Panie, ugodź twego nieszczęsnego gospodarza; żył on zbyt długo, gdyż ma nieszczęście oglądania, jak Wikariusz Proroka gwałci święte prawa gościnności.

Nur en-Nahar, która trwała w osłupieniu w czasie całej tej sceny, nie mogła dłużej znieść walki różnych namiętności, co wzburzały jej duszę. Padła zemdlona, a Wathek, równie struchlały o jej życie jak i wściekły, że natknął się na opór, rzekł do Fahr ed-Dina:

— Pospiesz z pomocą twej córce! — i odszedł rzucając mu swe

straszliwe spojrzenie. Nieszczęsny emir padł na wznak natychmiast, skąpany potem śmiertelnym.

Tymczasem Gulszenruz wymknął się z rąk Baba Baluka i powrócił w tej chwili, kiedy zobaczył Fahr ed-Dina i jego córkę rozciągniętych na ziemi. Wzywał pomocy, jak tylko potrafił. Biedne to dziecię usiłowało ożywić Nur en-Nahar swoimi pieścizotami. Błady i zdyszany, nie przestawał całować ust swej ukochanej. Wreszcie słodkie ciepło jego warg przywróciło jej przytomność, i wkrótce całkiem przyszła do siebie.

Kiedy Fahr ed-Din oprzytomniał po spojrzeniu kalifa, usadowił się na swoim miejscu, a rozglądając się wokół siebie, by zobaczyć, czy ten niebezpieczny książę poszedł sobie, przywołać kazał Szabana i Sutlemémé, i na bok ich odciągając rzekł do nich:

— Przyjaciele moi, na wielkie nieszczęścia trzeba środków brutalnych. Kalif wnosi strach i spustoszenie do mej rodziny; nie byłbym w stanie oprzeć się jego mocy; drugie z jego spojrzeń wpędziłoby mnie do grobu. Niech mi podadzą ten proszek usypiający, co go Derwisz przyniósł z Arrakanu. Dam tym dwojgu dzieciom taką jego dozę, której efekt potrwa trzy dni. Kalif uwierzy, że nie żyją. Wówczas udając, że je chowamy, zaniesiemy je do groty czcigodnego Majmuna, u wylotu wielkiej piaszczystej pustyni, w pobliżu chatki moich karzełków; a kiedy wszyscy pójdą sobie, ty Szabanie, z czterema wybranymi eunuchami, przeniesiecie je nad jezioro, gdzie rozkażecie zanieść zapasy żywnościowe na miesiąc. Jeden dzień na zaskoczenie, pięć na oplakiwanie, dwa tygodnie na refleksje, a reszta na przygotowanie i wyruszenie w drogę: oto, według mych obliczeń, cały czas, którego Wathek potrzebuje, i będę od niego uwolniony.

— Myśl jest dobra — powiedziała Sutlemémé. — Trzeba wykorzystać ją, jak się tylko da. Nur en-Nahar, jak mi się zdaje, ma skłonność do kalifa. Bądź pewien, panie, że jak długo będzie wiedziała, że on tu jest, to mimo całego jej przywiązania do Gulszenruza, nie zdołamy utrzymać jej w tych górach. Wmówmy jej, że naprawdę umarła, tak samo jak Gulszenruz, i że obydwójce zesłani zostali w te skały, by odpokutować tam grzeszki, do jakich popchnęła ich miłość. Powiemy im, że my zabiliśmy się z rozpaczy, a twoi mali karzełkowi, których oni nigdy nie widzieli, wydadzą im się niezwykłymi postaciami. Kazania, jakie będą im wygłaszać, wywrą wielkie na nich wrażenie, i założę się, że wszystko odbędzie się

najlepiej w świe-cie.

— Pochwalam twój pomysł — rzekł Fahr ed-Din. — Przyłożmy ręki do dzieła!

Natychmiast po proszek się udano; wsypano go do sorbetu, a Nur en-Nahar i Gulszen-ruz, niczego nie podejrzewając, połknęli mieszankę. W godzinę potem poczuli oni trwogę i bicie serca. Odrętwienie ogólne ich ogarnęło. Podnieśli się i wchodząc z trudem na podium, położyli się na sofie.

— Rozgrzej mnie, droga moja Nur en-Nahar — mówił Gulszenruz, ściskając ją mocno w objęciach — połóż dłoń na mym sercu: jest zlodowaciałe. Ach! Ty równie jak ja jesteś zimna. Czyżby kalif zabił nas oboje swoim straszliwym spojrzeniem?

— Umieram — odparła Nur en-Nahar gasnącym głosem. — Przytul mnie; niech przy-najmniej duszę mą na twych wargach wyzionę.

Czuły Gulszenruz wydał głębokie westchnienie, ramiona ich opadły, i nic więcej już nie wyrzekli; oboje byli jak martwi.

Wówczas krzyki wielkie rozległy się w haremie. Szaban i Sutlemémé odgrywali roz-pacz z dużą zręcznością. Emir zły, że do takiej skrajności musiał się posunąć, po raz pierwszy próby proszku dokonywał, i nie miał potrzeby zasmuconego udawać. Pogaszono światła. Dwie lampy rzucały blask smętny na twarz tych pięknych kwiatów, co, jak myślano, zwiędły w wiośnie swego życia; a niewolnice, które z wszystkich stron się zbiegły, znieruchomiały wobec widoku, jaki przedstawił się ich oczom. Przyniesiono stroje żałobne; obmyto ciała wo-dą różaną; odziano ich w długie szaty bielsze niż alabaster; a ich piękne loki, razem powiąza-ne, skropione zostały najbardziej wykwintnymi zapachami.

Przystępowano właśnie do zakładania na ich głowy dwóch wieńców z jaśminu, ich ulubionego kwiatu, gdy kalif, który dopiero co dowiedział się o tym wydarzeniu tragicznym, przybył tam. Był równie blady i dziki jak Upiory, co błędzą nocą po grobowcach. W tych okolicznościach zapomniał o sobie samym i o świecie całym; rzucił się pomiędzy niewolnice, padł na twarz u stóp tronu i bijąc się w pierś, mianował się zabójcą straszliwym i tysiąc zło-rzeczeń przeciw sobie samemu wygłaszał. Lecz gdy drżącą dłonią uniósł zasłonę, co przy-krywała śmiertelnie białą twarz Nur en-Nahar, wydał okrzyk wielki i padł jak nieżywy. Szef eunuchów robił okropne miny i

zabrał go natychmiast, mówiąc:

— Dobrze przewidywałem, że Nur en-Nahar jakiś brzydki kawał mu wypłata.

Gdy tylko kalif oddalił się, emir zaczął wkładanie do trumien, i wydał zakaz wstępu do haremu. Zamknięto wszystkie okna; rozbito wszelkie instrumenty muzyczne, a imamowie rozpoczęli recytować modlitwy. Płacze i lamenty przybrały na sile w wieczór, który nastąpił po tym dniu ponurym. Co do Watheka, cierpiał on w milczeniu. Musiano uśmierzać konwulsje jego wściekłości i rozpacz, podając mu środki uspokajające.

O świcie dnia następnego otwarto wielkie skrzydła bram pałacu i orszak pogrzebowy wyruszył, by udać się w góry. Smutne okrzyki „la ilaha illa I-Lah” * dotarły aż do kalifa. Chciał wszelkimi siłami rany sobie zadać i podążyć za ceremonią żałobną; nigdy w życiu nie udałoby się go odwieść od tego, gdyby słabość jego wielka pozwoliła mu trzymać się na nogach; ale przewracał się przy pierwszym kroku, i musiano ułożyć go do łóżka, gdzie pozostał kilka dni w stanie znieczulenia, jaki wzbudzał litość nawet u emira.

Kiedy procesja przybyła do grotty Majmuna, Szaban i Sutlemémé odprawili wszystkich z powrotem. Pozostało z nimi czterech zaufanych eunuchów; i po odpoczynku przez kilka chwil przy trumnach, którym zostawiono dostęp powietrza, zaniesiono je nad brzegi jeziora obrzeżonego szarawym mchem. Było to miejsce spotkań czapli i bocianów, które łowiły tam stale małe niebieskie rybki. Karzelki powiadomione przez emira nie zwlekały, by się tam sta-wić, i z pomocą eunuchów budowali chatki z trzciny i sitowia; dzieło, które udawało im się cudownie. Postawili również magazyn na zapasy żywności, małą kapliczkę dla siebie samych i piramidę drewna. Zrobiona była ona z polan z wielką dokładnością poukładanych i służyła do podtrzymywania ogniska; gdyż chłód panował w tych górskich zapadlinach.

Nad wieczorem rozpalono dwa wielkie ogniska na brzegu jeziora; wyciągnięto dwa wdzięczne ciała z ich trumien i złożono je delikatnie w tej samej chatce, na posłaniu z zeschniętych liści. Karzelki zabrały się do recytowania Koranu swymi jasnymi i srebrzystymi głosami. Szaban i Sutlemémé trwali stojąc w pewnej odległości, i z wielkim niepokojem czekali, aż proszek dokona swego działania. Wreszcie Nur en-Nahar i Gulszenruz wyciągnęli bezsilnie ramiona, i otwierając

oczy, popatrzyli z największym zdziwieniem na to wszystko, co ich otaczało. Spróbowali nawet podnieść się; ale że sił im zabrakło, opadli z powrotem na swe posłanie z liści. Natychmiast Sutlemémé dała im do połknięcia środek wzmacniający, w jaki emir ją zaopatrzył.

Wówczas Gulszenruz obudził się zupełnie, kichnął porządnie i podniósł się z rozma-chem, który zdradzał całe jego zaskoczenie. Gdy znalazł się poza chatką, wciągnął powietrze z niezwykłą chciwością i wykrzyknął:

— Oddycham; słyszę dźwięki, widzę firmament gwiazdami usiany! Żyję jeszcze!

Na te ukochane dźwięki Nur en-Nahar zrzuciła liście i przybiegła, by Gulszenruza w swych ramionach uściskać. Długie szaty, w jakie byli odziani, ich wieńce z kwiatów i stopy bosc, to były pierwsze rzeczy, które wzrok jej uderzyły. Ukryła twarz w dłoniach, żeby się zastanowić. Wizja zaczarowanej kąpieli, rozpacz ojca, a nade wszystko majestatyczne oblicze Watheka przetaczały się w jej umyśle. Przypomniała sobie, że była chora i umierająca tak samo jak Gulszenruz; ale wszystkie te obrazy gmatwały się w jej głowie. To osobliwe jezioro, te płomienie odbijające się w spokojnych wodach, blade kolory ziemi, chatki te dziwaczne; te trzciny, co same sobą smutnie kołysały; te bociany, których okrzyk posępny mieszał się z głosami karzełek; wszystko to przekonało ją, że anioł śmierci otworzył jej bramę jakiejś nowej egzystencji.

Gulszenruz ze swej strony, w śmiertelnej trwodze, przytulił się do swej kuzynki. Tak samo myślał, że jest w krainie cieni i przerażony był milczeniem, jakie ona zachowywała.

— Mów — rzekł wreszcie do niej — gdzie jesteśmy? Czy widzisz widma, które ten żar gorejący poruszają? Byłby to Monkir i Nekir, co zaraz nas tam wrzuca? Czy most fatalny przemierza to jezioro, którego spokój kryje być może przepaść wodną, w którą spadać będzie-my przez wieki całe?

— Nie, dzieci moje — rzekła Sutlemémé zbliżając się do nich — uspokójcie się; anioł śmierci, który dusze nasze za waszymi prowadził, zapewnił nas, że kara za żywot wasz znie-wieściały i rozkoszom oddany ograniczać się będzie do spędzenia długich lat w tym smutnym

* „La ilaha...” — „nie ma boga prócz Allacha” (przyp. red.).

miejscu, gdzie słońce zaledwie się pokazuje, gdzie ziemia nie rodzi kwiatów ani owoców. Oto nasi strażnicy — ciągnęła dalej, wskazując na karzełków — będą oni troszczyć się o nasze potrzeby: gdyż dusze tak świeckie, jak nasze, trzymają się jeszcze trochę swej przyziemnej egzystencji. Za całe pożywienie będziecie jeść tylko ryż; a chleb wasz skąpany będzie we mgłach, co okrywają bez przerwy to jezioro.

Na tę smutną perspektywę biedne dzieci wybuchnęły płaczem. Uderzyły w pokłon przed karzełkami, które wczuwając się doskonale w swą rolę, wygłosiły im, zgodnie ze zwyczajem, bardzo piękną i bardzo długą przemowę o świętym wielbłądzie, który miał za kilka tysięcy lat zawieźć je do rajy wiernych.

Po ukończonym kazaniu dokonano ablucji, pochwalono Allaha i Proroka, spożyto chudą kolację i powrócono na zeschnięte liście. Nur en-Nahar i jej mały kuzyn radzi byli bardzo widząc, że zmarli sypiali w tej samej chatce. Ponieważ dość się wyspali, rozprawiali ze sobą przez resztę nocy o tym, co się wydarzyło, a cały czas przytulali się do siebie z obawy przed duchami.

Następnego dnia z rana, które było ponure dość i deszczowe, karzełki wspięły się na długie żerdzie osadzone na podobieństwo minaretów, wzywając do modlitwy. Całe bractwo zgromadziło się: Sutlemémé, Szaban, czterech eunuchów, kilka bocianów, co znudziły się rybołówstwem, i dwoje dzieci. Te ostatnie włóczyły się ospale wkoło swej chatki, a że umysły ich nastrojone były na nutę melancholiczną i tkliwą, przystąpiły żarliwie do obrządków. Po czym Gulszenruz zapytał Sutlemémé i innych, jak to zrobili, żeby tak w porę umrzeć dla nich.

— Zabiliśmy się z rozpaczy po waszej śmierci — odrzekła Sutlemémé.

Nur en-Nahar, która pomimo wszystkiego, co zaszło, nie zapomniała swej wizji, wykrzyknęła:

— A kalif? Czyżby umarł z bólu? Czy przybędzie tutaj?

Karzełki głos zabrały i odpowiedziały z powagą:

— Wathek skazany jest bez ratunku.

— Nie wątpię w to — wykrzyknął Gulszenruz — i jestem tym zachwycony; gdyż myślę, że to jego spojrzenie straszliwe wysłało nas tu ryż zjadać i kazań wysłuchiwać.

Cały tydzień upłynął prawie w ten sam sposób nad brzegami jeziora; Nur en-Nahar myślała o wspaniałościach, jakie straciła z

powodu swej nudnej śmierci; a Gulszenruz robił koszyki z sitowia wraz z karzełkami, które podobały mu się niezwykle.

Podczas gdy ta niewinna scena w głębi gór się rozgrywała, inna u emira miała miejsce. Kalif władzy swych zmysłów nie odzyskał aż dopiero wraz z głosem, którym w dreszcz wprawił Baba Baluka, wykrzykując:

— Giaurze perfidny! to ty zabiłeś moją drogą Nur en-Nahar. Wyrzekam się ciebie, i o przebaczenie proszę Mahometa; byłby mi on zachował ją, gdybym był bardziej rozsądny. Dalej, niech mi podadzą wodę, bym dokonał mych ablucji, i niech przyjdzie tu dobry Fahr ed-Din, żebym mógł pogodzić się z nim i abyśmy modlitwy odprawili. Po czym razem pójdzie-my odwiedzić grobowiec nieszczęsnej Nur en-Nahar. Chcę zostać pustelnikiem i spędzić dni moje na tej górze, by odpokutować tam me zbrodnie.

— A co tam będziesz jadł, panie? — rzekł mu Baba Baluk.

— Tego nie wiem — odparł Wathek — powiem ci, jak przyjdzie mi apetyt; co nie zda-rzy mi się, jak myślę, długo jeszcze.

Nadejście Fahr ed-Dina przerwało tę rozmowę. Gdy tylko Wathek go zobaczył, rzucił mu się na szyję i skapał go w swych łzach, mówiąc mu rzeczy tak pobożne, że emir rozplakał się z radości, i gratulował sobie w duchu zachwycającego nawrócenia, jakiego właśnie doko-nał. Zrozumiałe, że nie śmiał sprzeciwić się pielgrzymce w góry; wsiedli więc każdy do swej lektyki i wyruszyli.

Pomimo baczości, z jaką nad kalifem czuwano, nie udało się zapobiec temu, by nie zadał sobie kilku zadraśnięć na miejscu, gdzie jak mówiono pochowana była Nur en-Nahar. Wiele trudu kosztowało, żeby go stamtąd oderwać, a przysięgał uroczyście, że będzie tam codziennie powracał, co niezbyt spodobało się Fahr ed-Dinowi; ale łudził się, że kalif nie bę-dzie się dalej zapuszczając, i że poprzestanie na odmawianiu swych modłów w jaskini Majmu-na, zresztą jezioro tak było pośród skał ukryte, że nie przypuszczał, by możliwym było je odnaleźć. Ta pewność emira pogłębiona została zachowaniem się Watheka. Trzymał się on bardzo dokładnie swego postanowienia, a powracał z gór taki pobożny i taki skruszony, że wszystkich starców wprawiało to w ekstazę.

Nur en-Nahar ze swej strony nie całkiem była zadowolona. Jakkolwiek kochała ona Gulszenruza, i pozostawiano ją z nim swobodnie, by czułość jej powiększyć, traktowała go jak zabawkę,

która nie przeszkadzała temu, aby karbunkuł Giamszyda nie był nader pożąda-ny. Miewała nawet niekiedy wątpliwości co do swego stanu, nie mogąc zrozumieć, żeby zma-rli mieli wszystkie potrzeby i kaprysy żyjących. Pewnego ranka, aby rzecz wyjaśnić, opuściła po cichu Gulszenruza, podczas gdy wszystko jeszcze spało, i pocałowawszy go podążyła brzegiem jeziora. Ujrzała, że spływało ono pod skałę, której wierzchołek nie wydał jej się nie-dostępny. Natychmiast wspięła się nań, jak tylko potrafiła najlepiej, a widząc niebo otwarte, zaczęła biec niczym łania, co przed łowcą ucieka. Choć robiła susy z lekkością antylopy, zmuszona przecież była usiąść na kilku tamaryszkach, żeby tchu zaczerpnąć. Zaczęła rozglą-dać się wokoło i zdawało jej się, że rozpoznaje okolice, gdy nagle Wathek jej oczom się objawił. Książę ten, zatroskany i niespokojny, wyprzedził jutrzenkę. Kiedy zobaczył Nur en-Nahar, znieruchomiał. Nie śmiał zbliżyć się do tej postaci drżącej i bladej, ale przecież wciąż uroczym wyglądem. Wreszcie Nur en-Nahar z miną w połowie uradowaną, a w połowie zasmuconą, podniosła swe śliczne oczy na niego i rzekła mu:

— Panie, przychodzisz więc ryż razem ze mną spożywać i kazań wysłuchiwać?

— Cieniu ukochany — wykrzyknął Wathek — ty mówisz? Masz wciąż tę samą postać wytworną, to samo spojrzenie! Byłabyś równie dotykana?

Mówiąc te słowa, objął ją z całej siły, powtarzając bez przerwy:

— Ależ oto ciało, słodkim ciepłem ożywione. Co oznaczać ma ten cud?

Nur en-Nahar skromnie odpowiedziała:

— Wiesz, panie, że umarłam tej samej nocy, której zaszczyliłeś mnie swą wizytą. Kuzyn mój powiada, że było to, jedno z twych spojrzeń, ale ja w to ani trochę nie wierzę; nie wydały mi się one takie znowu straszne. Gulszenruz umarł wraz ze mną i obydwójce przeniesieni zostaliśmy do nader smutnej krainy, gdzie chudo bardzo się jada; jeśli też jesteś zmarły, panie, i jeśli przybywasz, by do nas się przyłączyć, żal mi ciebie, bo odurzony zostaniesz przez karzełki i bociany. Zresztą, przykre to dla ciebie i dla mnie, że utraciliśmy skarby pała-cu podziemnego, jakie były nam przyrzeczone.

Słyszając o pałacu podziemnym, kalif zaprzestał swych pieszczoł, w których już daleko dość był się posunął, żeby kazać wyjaśnić sobie, co przez to Nur en-Nahar chciała powie-dzieć. Wówczas opowiedziała

mu ona o swej wizji, o tym, co po niej nastąpiło, i historię swojej rzekomej śmierci; odmalowała mu ona miejsce pokuty, skąd umknęła, w sposób, który byłby go rozśmieszył, gdyby nie był bardzo poważnie zaaferowany. Zaledwie mówić skończyła, gdy Wathek, ponownie biorąc ją w swe ramiona, powiedział:

— Dalejże, światłości mych oczu, wszystko się wyjaśniło. Obydwoje pełni życia jeste-śmy; ojciec twój to szelma, co nas oszukał, żeby nas rozłączyć; a gjaur, który, jeśli dobrze rozumiem, chce nas w podróż razem wyprawić, wcale więcej niewart. Potrwa to przynajmniej trochę, zanim mieć nas będzie w swym pałacu ognistym. Więcej wartości przywiązuję do twej pięknej osoby, jak do wszystkich skarbów sułtanów preadamickich; i chcę posiadać cię do woli, i na wolnym powietrzu, w ciągu wielu zmian księżycowych, zanim pójde zagrzebać się pod ziemią. Zapomnij o tym małym głuptasie Gulszenruzie i...

— Ach! Panie, nie rób mu krzywdy żadnej — przerwała Nur en-Nahar.

— Nie, nie — odrzekł Wathek — powiedziałem ci już, abyś nie lękała się o niego; na-zbyt z mleka i cukru jest urobiony, żebym miał być zazdrosny; zostawmy go razem z karzełkami (które, nawiasem mówiąc, są mymi starymi znajomymi); jest to towarzystwo, co znacznie lepiej niż twoje nadaje się dla niego. Zresztą, nie wrócę już do twego ojca; nie chcę go wysłuchiwać, jego samego i jego staruchów, jak skrzeczą mi do uszu, że gwałcę prawa go-ścinności, jakby to nie był większy dla ciebie zaszczyt poślubić władcę świata aniżeli dziewczynkę przebraną za chłopca.

Nur en-Nahar ani myślała sprzeciwić się tak elokwentnej przemowie. Pragnęłaby tylko, aby zakochany monarcha okazał trochę więcej zapachu dla karbunkułu Giamszyda; ale pomyślała, że przyjdzie to w swoim czasie, i na wszystko przystawała z uległością jak najbardziej ujmującą.

Gdy kalif uznał, że na to pora, przywołał Baba Baluka, który spał w grocie Majmuna, i śnił, że duch Nur en-Nahar wsadził go znów na huśtawkę, a tak go rozbijał, że raz ponad górami szybował, a raz przepaści dosięgał. Na głos swego pana zerwał się jednym susem, przybiegł cały zadyszany, i myślał, że padnie jak długi, gdy uwierzył, że widzi ducha, o którym śnił co dopiero.

— Ach! Panie — wykrzyknął cofając się o dziesięć kroków, i

dłonią oczy zasłaniając. — Czyżbyś zmarłych odkopywał? Wykonujesz również zawód wampira? Ale pozbądź się nadziei zjedzenia tej Nur en-Nahar; po tym, co dała mi ona wycierpieć, będzie dość złośliwa na to, żeby zjeść ciebie samego.

— Przestań głupca zgrywać — powiedział Wathek — wkrótce przekonasz się, że ta, którą w mych ramionach trzymam, jest Nur en-Nahar, pełna świeżości i życia. Idź ustawić moje namioty w dolinie, którą niedaleko stąd zauważyłem; chcę stworzyć tam siedzibę moją z tym pięknym tulipanem, którego ożywię kolory. Zrób tak, żeby zaopatrzyć nas we wszystko, czego potrzeba, aby prowadzić życie pełne rozkoszy, aż do odwołania.

Więści o tak przykrym zajściu dotarły wkrótce do uszu emira. W rozpacz, że nie udał się jego podstęp, oddał się boleści, i twarz popiołem jak należy posypał sobie; wierni jego staruchowie tak samo postąpili, a pałac w nieład straszliwy popadł. Wszystko zostało zaniebane; nie przyjmowano już więcej podróżnych, nie dokonywano opatrunków; i zamiast działalności dobroczynnej, jaka w tym przytułku panowała, ci, co go zamieszkiwali, już tylko ukazywali twarze na łokieć wydłużone; były to lamente tylko i posypywanie się popiołem.

Tymczasem Gulszenruz był jak osłupiały, nie odnajdując więcej swej kuzynki. Karzełki nie mniej od niego były zaskoczone. Jedna Sutlemémé, bardziej niż wszyscy przebiegła, domyśliła się pierwsza, co się wydarzyło. Pocieszano Gulszenruza piękną nadzieją odnalezienia Nur en-Nahar w jakimś miejscu w górach, gdzie ziemia usłana kwiatami pomarańczy i jaśmi-*nu* przedstawiałaby posłania przyjemniejsze od tych w chatkach, gdzie śpiewano by przy dźwiękach lutni i gdzie chodziłoby się na łowy motyli.

Sutlemémé była w pełni swych opisów, gdy jeden z czterech eunuchów odciągnął ją na bok, wyjaśnił historię ucieczki Nur en-Nahar i przekazał jej rozkazy emira. Natychmiast zwołała naradę z Szabanem i z karzełkami; zwinięto bagaże; załadowano się do szalupy i spokojnie pożeglowano. Gulszenruz godził się na wszystko; lecz gdy dotarto do miejsca, gdzie jeziorek gubiło się pod sklepieniem skały, gdy barka wpłynęła tam, i gdy Gulszenruz ujrzał się w absolutnej ciemności, ogarnął go strach okropny, i wydawał przenikliwe okrzyki, gdyż myślał, że oto skazany zostanie bez reszty za to, że za życia za daleko posunął się ze swą kuzynką.

W tym samym czasie kalif i ta, co nad sercem jego panowała, dni szczęśliwe pędzili. Baba Baluk kazał postawić namioty i zamknął oba wejścia do doliny wspaniałymi parawanami, podszytymi płótnem indyjskim i strzeżonymi przez etiopskich niewolników, z szablą w dłoni. Żeby utrzymać w stanie wiecznej świeżości murawę tego pięknego ogrodzenia, biali eunuchowie nie przestawali krążyć po niej z polewaczkami ze srebra pozłacanego. Powietrze przy namiocie cesarskim ożywiane było bez przerwy ruchem wachlarzy; łagodne światło, jakie przenikało poprzez muśliny, oświetlało to miejsce rozkoszy, i kalif cieszył się tam w pełni wdziękami Nur en-Nahar. Upojony rozkoszą wsłuchiwał się z uniesieniem w jej piękny głos i jej lutni akordy. Ona ze swej strony zachwycona była słuchając opisów Samarry i pełnej skarbów wieży. Lubiła zwłaszcza, kiedy powracał do opowieści o przygodzie z kłębem i do tej o szczelinie, gdzie giaur przy hebanowym portalu wyczekiwał.

Dzień na tych pogawędkach upływał, a nocą kochankowie ci kapali się razem w wielkim basenie z czarnego marmuru, który cudownie biel skóry Nur en-Nahar podkreślał. Baba Baluk, u którego piękność ta do łask powróciła, troszczył się o to, by posiłki ich z największą skrupulatnością były podawane; były to zawsze jakieś nowe dania; i kazał sprowadzić z Sziraz wino pienne, przed narodzinami Mahometa do piwnic wstawiane. W małych piecach wykutych w skale wypiekano mleczne chleby, które Nur en-Nahar swymi delikatnymi dłońmi wyrabiała, co nadawało im smak tak bardzo podług upodobania Watheka, że zapominał dla nich o wszystkich potrawach, jakie inne jego żony mu przysposabiały; toteż biedne, porzuczone u emira, z żalu umierały.

Sułtanka Dilara, która dotychczas faworytą była, wzięła sobie do serca to zaniedbanie z energią, jaka w jej charakterze leżała. Otoczona łaską kalifa przejęła się dziwacznymi pomysłami Watheka i pałała chęcią ujrzenia grobowców Persepolis oraz pałacu czterdziestu kolumn; wśród magów zresztą wychowana radowała się widząc kalifa gotowego oddać się kułtowi ognia. Toteż rozkoszny i beczynny żywot, jaki wiódł on z jej rywalką, trapił ją podwójnie. Przelotna pobożność Watheka żywo ją zaniepokoiła; to było jeszcze gorsze. Powzięła więc decyzję, żeby do księżny Karatis napisać, powiadomić ją, że wszystko źle się działo, że wyraźnie nie dotrzymano warunków pergaminu, że jedzono, spano i zabawiano się u starego emira, którego

świętość była groźna wielce, i że koniec końców przestało być prawdopodobne, by miano kiedykolwiek osiąść skarby sułtanów preadamickich. List ten powierzony został dwóm drwalom, co ścinali drzewo w jednym z wielkich lasów w górach, a którzy znając drogi najkrótsze, do Samarry w dziesięć dni przybyli.

Księżna Karatis w szachy grała z Murakanabadem, kiedy przybyli posłańcy. Od kilku tygodni porzuciła ona wysokie regiony swej wieży, ponieważ zdawało jej się, że wszystko jest wśród gwiazd w nieładzie, gdy o syna je zapytywała. Mogła powtarzać do woli swe okadzania i pokładać się na dachach w nadziei jakichś wizji mistycznych; śniła tylko o kawałkach brokatu, bukietach i innych podobnych głupstwach. Wszystko to wprowadziło ją w przygnębienie, z jakiego wszystkie leki, które wyrabiała, wyciągnąć jej nie mogły, i ostatnim jej ratunkiem stał się Murakanabad, poczciwiec, pełen rzetelnej ufności, ale w jej towarzystwie na różach nie spoczywający.

Ponieważ nikt nie miał wieści o Watheku, tysiąc śmiesznych historii na jego temat krążyło. Łatwo więc pojąć, z jakim zapalem Karatis list rozpieczętowała i jaka była jej wściekłość, gdy dowiedziała się o nikczemnym postępowaniu syna.

— Ach! ach! — powiedziała. — Zginę albo wkroczy on do pałacu ognia; niech umrę w płomieniach, a Watek niech na tronie Sulejmana króluje!

Co mówiąc, wykonała piruet w sposób tak magiczny i straszny, że Murakanabad cofnął się z przerażenia; rozkazała osiodłać swego wielkiego wielbłąda al-Bufakid i sprowadzić ohydny Nerkès z bezlitosną Kafur.

— Nie chcę innej eskorty — rzekła do wezyra — w pilnych sprawach jadę, toteż na bok z paradą; ty będziesz mieć o lud staranie; oskubuj go dobrze pod moją nieobecność; gdyż wydajemy sporo, a nie wiadomo, co zdarzyć się może.

Noc była bardzo czarna, a od równiny Katul dmuchał wiatr niezdrowy, który odstręczał-by każdego podróżnika, w jakim by nie był pośpiechu; ale Karatis uwielbiała wszystko, co złowrogie, Nerkès te same miała upodobania, a Kafur lubowała się szczególnie w zarazach. Rankiem milutka ta karawana, przez dwóch drwali wiedziona, zatrzymała się nad brzegami wielkiego moczar, skąd wydzielał się opar śmiertelny, jaki byłby zabił każde inne stworzenie, ale nie al-Bufakiego, który naturalnie z przyjemnością wdychał te

szkodliwe zapachy. Wieśniacy błagali damy, ażeby nie spać w tym miejscu.

— Spać! — wykrzyknęła Karatis. — Piękna myśl! Ja po to tylko sypiam, żeby mieć wi-zje; a co do moich towarzyszek, to za wiele mają one zajęć, żeby zamykać jedyne oko, jakie posiadają.

Biedni ludziska, którzy zaczęli trochę nieswojo czuć się w tym towarzystwie, ze zdziwienia szeroko otworzyli usta.

Karatis zeszła na ziemię, tak samo jak Murzynki, co z tyłu za nią siedziały, a wszystkie rozbierając się do koszuli i pantalonów, pobiegły w żarze słonecznym zbierać zioła trujące, których pełno było nad moczarami. Zapas ten był przeznaczony dla rodziny emira i dla tych wszystkich, którzy mogli przedstawiać najmniejszą przeszkodę w podróży do Persepolis. Drwale umierali ze strachu widząc, jak biegają te trzy okropne upiory, i nie za bardzo gustowali w towarzystwie al-Bufakiego. O wiele gorzej było, kiedy Karatis rozkazała im w drogę wyruszyć, chociaż było południe i zrobił się upał, że kamienie można było wypalać; coko-lwiek jednak by powiedzieli, musieli być posłuszni.

Al-Bufaki, który bardzo lubił odludzia, sapał, gdy najmniejsze domostwo dostrzegał, a Karatis, na swój sposób go rozpieszczająca, natychmiast zmieniała kierunek, co spowodowało, że wieśniacy nie mogli zdobyć po drodze najmniejszego pożywienia. Kozy i owce, jakie Opatrzność zsyłać im się zdawała i których mleko mogłoby orzeźwić ich trochę, umykały na widok ohydneho zwierzęcia i jego dziwnego brzmienia. Jeśli chodzi o Karatis, nie odczuwała ona żadnej potrzeby tych pospolitych pokarmów, wymyśliwszy już dawno temu pewną miksturę, która jej wystarczała, i której używała swoim drogim niemowom.

Z nastaniem nocy al-Bufaki zatrzymał się nagle i tupnął nogą. Karatis знаła jego oby-czaje i pojęła, że musieli być w pobliżu cmentarza. Rzeczywiście, księżyc rzucał bladą po-światę, która wkrótce dostrzec pozwoliła długi mur i bramę na wpół uchyloną i tak wysoką, że można było przez nią przeprowadzić al-Bufakiego. Nieszczęśni przewodnicy, którzy dobi-jali końca dni swoich, poprosili wówczas pokornie Karatis, żeby ich tam pochować, skoro sposobność po temu się nadarzała, i wyzionęli ducha. Nerkès i Kafur zakpiły na swój sposób z głupoty tych ludzi, uznały widok cmentarza za bardzo w swoim guście, a grobowce za nader ucieszne; było ich co najmniej

dwa tysiące na zboczu wzgórza. Karatis, nazbyt zaprzątnięta swymi wielkimi zamiarami, żeby interesować się tym widowiskiem, jakkolwiek bardzo było ono w jej guście, wpadła na pomysł wykorzystania swej sytuacji. Zapewne — powiedziała sobie — tak piękny cmentarz nawiedzany jest przez Upiory; gatunkowi temu nie brak inteli-gencji; ponieważ z braku uwagi dopuściłam do śmierci moich zwierząt prowadzących, zapytam o moją drogę Upiory, a żeby je przynęcić, zaproszę je na ucztę na tych świeżych ciałach.

Po tym uczonym monologu dała ona znaki palcami Nerkès i Kafur, polecając im iść stukać do grobów z miłym szczebiotem.

Murzynki, nader ucieszone tym rozkazem i obiecujące sobie wiele przyjemności w towarzystwie Upiorów, wyruszyły ze zdobywcą miną i zabrały się do robienia stuk! stuk! o grobowce. W miarę jak stukały, słyszeć się dawał głuchy odgłos w ziemi, piaski poruszały się i Upiory, przywabione świeżością nowych trupów, wychodziły z wszystkich stron, wciągając nosem powietrze. Wszystkie one udały się przed grób z białego marmuru, gdzie siedziała Karatis pomiędzy dwoma ciałami swych nieszczęsnych przewodników. Księżna ta przyjęła swoich gości z dystyngowaną uprzejmością, a po wieczerzy pomówiono o interesach. Dowiedziała się ona wkrótce tego, o czym życzyła sobie wiedzieć, i nie tracąc czasu zapragnęła wyruszyć w drogę. Murzynki, które zaczęły nawiązywać nici przyjaźni z Upiorami, błagały ją wszystkimi palcami, żeby przynajmniej do jutrzejki poczekać; ale Karatis, która była chodzącą cnotą i nieprzyjaciółką zaprzysiężoną miłostek i gnuśności, odrzuciła ich prośbę i dosiadając al-Bufakiego nakazała im iść w swe ślady jak najszybciej. Podczas czterech dni i czterech nocy podróżowała nie zatrzymując się. Dnia piątego przebyła góry i lasy na wpół spalone i przybyła, szóstego dnia, przed piękne parawany, co skrywały przed wszystkimi oczyma rozkoszne grzeszki jej syna.

Świtało: strażnicy chrapali z całym spokojem na swoich posterunkach; głośny trucht al-Bufakiego wyrwał ich ze snu nagle; wydało im się, że widzą straszidła z czarnej przepaści wychodzące i uciekli bez żadnych ceremonii. Wathek był z Nur en-Nahar w kąpielni; słuchał opowiastek, i śmiał się z Baba Baluka, który je wymyślał. Zaalarmowany krzykami swych strażników, wyskoczył z wody; lecz wrócił do niej czym prędzej, jak tylko zobaczył Karatis: zbliżała się ona ze swymi Murzynkami, wciąż na grzbiecie al-Bufakiego, w

kawałki rozno-sząc muśliny i delikatne zasłony przy wejściu do namiotu. Na to niespodziewane zjawisko Nur en-Nahar, która nie zawsze była bez wyrzutów sumienia, pomyślała, że chwila zemsty niebios nadeszła, i przytuliła się czule do kalifa. Wówczas Karatis, nie zsiadając ze swego wielbłąda i piniąc się z wściekłości na widok, jaki przedstawił się jej nieskałanym oczom, wybuchła bez opamiętania.

— Potworze o dwóch głowach i na czterech nogach — wykrzyknęła — co ma oznaczać całe to piękne obalamucenie? Nie wstyd ci tego podlotka obejmować zamiast beret sułtanów preadamickich? To dla tej więc nędznicy tak szaleńczo pogwałciłeś warunki gjaura? Z nią to trawisz cenne chwile? To ma być owoc, jaki wydobywasz z pięknych nauk, które ci dałam? Tutaj jest cel twej podróży? Wyrwij się z ramion tej smarkuli; utop ją w wodzie i chodź za mną.

W swym pierwszym odruchu wściekłości Wathek miał ochotę rozpruć brzuch al-Bufa-kiemu i nadziać go Murzynkami, a nawet Karatis; ale myśl o gjaurze, o pałacu Persepolis, szablach i talizmanach uderżyły jego umysł z szybkością błyskawicy. Rzekł więc swej matce tonem uprzejmym, aczkolwiek stanowczym:

— Groźna pani, będziesz usłuchaną; ale nie utopię Nur en-Nahar. Jest ona słodsza ani-żeli konfitura z mirabolanu; lubi ona bardzo karbunkuły, a szczególnie ten Giamszyda, który został jej obiecany; pójdzie razem z nami, gdyż życzę sobie, by mogła sypiać na kanapach Sulejmana.

— Tym lepiej! — odrzekła Karatis, zsiadając z al-Bufakiego, którego oddała w ręce Murzynek.

Nur en-Nahar, która nie popuściła z rąk łupu, uspokoiła się trochę i powiedziała tkliwie do kalifa:

— Drogi władco serca mego, pójdę za tobą, jeśli trzeba będzie aż za granice Kaf do kraju Ifrytów; nie zleknię się wspiać dla ciebie do gniazda Simorgue, która, po Pani, jest istotą najbardziej czcigodną, jaka kiedykolwiek została stworzona.

— Oto — rzekła Karatis — dziewczyna, co ma odwagę i znajomość rzeczy.

Nur en-Nahar miała je z pewnością; ale mimo całej swej stanowczości nie mogła po-wstrzymać się, żeby nie myśleć czasem o urokach swego małego Gulszenruza, i o czułych dniach, jakie z nim spędzała; kilka łez zwilżyło jej oczy, i nie uszło to uwagi kalifa.

Powie-działa nawet na głos nieopatrznie:

— Niestety! miły mój kuzynie, co się z tobą stanie?

Na te słowa Wathek brew zmarszczył, a Karatis wykrzyknęła:

— Co znaczą te grymasy, co ona powiedziała?

Kalif odrzekł:

— Wzdycha ona nie w porę za małym chłopcem, którego kochała.

— Gdzie on jest? — spytała z miejsca Karatis. — Muszę zawrzeć znajomość z tym ładnym dziecięciem, gdyż — ciągnęła dalej po cichu — mam zamiar, przed wyruszeniem w drogę, przywrócić sobie łaski giaura; nie będzie dla niego nic bardziej apetycznego niż serce dziecka delikatnego, co oddaje się pierwszym porywom miłości.

Wathek, wychodząc z kąpieli, wydał rozkaz Baba Balukowi, żeby zebrał jego oddziały, jego kobiety i inne dobra ruchome seraju, i przygotował wszystko do wyruszenia za trzy dni. Co do Karatis, schroniła się ona samotnie pod namiot, gdzie giaur bawił ją dodającymi otuchy wizjami. W chwili przebudzenia zobaczyła u stóp swych Nerkès i Kafur, które swymi znakami powiadomiły ją, że zaprowadziwszy al-Bufakiego nad brzeg jeziora, aby tam skubał szary mech niezgorzej trujący, dojrzały ryby niebieskawe, jak te ze zbiornika na szczycie wieży w Samarze.

— Ach! Ach! — powiedziała — natychmiast chcę iść na to miejsce; z pomocą małego zabiegu będę mogła uczynić te ryby cudownymi; wyjaśnią mi one wiele rzeczy i powiedzą mi, gdzie jest ten Gulszenruz, którego bezwzględnie chcę poświęcić w ofierze.

Natychmiast też wyruszyła wraz ze swą czarną świtą.

Jako że w złych zamiarach szybko się robi postępy, Karatis i jej Murzynki niezwłocznie przybyły nad jezioro. Zapaliły one magiczne leki, w które stale były zaopatrzone, i rozebrawszy się do naga weszły aż po szyję do wody. Nerkès i Kafur potrząsnęły zapalonymi pocho-dniami, podczas gdy Karatis wypowiadała barbarzyńskie zaklęcia. Wówczas wszystkie ryby wystawiły głowy z wody, którą mąciły mocno swymi płetwami, i, zniewolone mocą czarów, otworzyły żalosalne pyszczki i rzekły wszystkie jednocześnie:

— Jesteśmy ci oddane, pani, od głowy aż po ogon: czego od nas żądasz?

— Ryby — powiedziała Karatis — zaklinam was na wasze błyszczące łuski, żebyście mi powiedziały, gdzie jest mały

Gulszenruz?

— Z drugiej strony tej skały, pani — odpowiedziały wszystkie ryby chórem. — Czy jesteś zadowolona? Bo my bynajmniej nie jesteśmy z takiego trzymania pyszczka otwartego na świeżym powietrzu.

— Tak — odparła księżna — dobrze widzę, że nie jesteście przyzwyczajone do długich przemówień, zostawię was w spokoju, chociaż miałabym dla was sporo innych pytań.

Na to woda uspokoiła się, a ryby zniknęły.

Karatis przepelniona jadem swych zamiarów wspięła się natychmiast na skałę i ujrzała pod przykryciem liści wdzięcznego Gulszenruza, co spał, podczas gdy dwóch karzełków czuwało nad nim, mamrocząc swe modlitwy. Te małe osobki miały dar odgadywania, kiedy zbliżał się jakiś nieprzyjaciół dobrych muzułmanów; poczuły więc one, że nadchodzi Karatis, która zatrzymując się nagle, sama do siebie mówiła:

— Jak on miękko skłania swą główkę! To właśnie dziecko, jakiego mi potrzeba.

Karzełki przerwały te piękne rozważania rzucając się na nią i drapiąc ją z wszystkich swych sił. Nerkès i Kafur stanęły natychmiast w obronie swej pani i poszczypały karzełki tak mocno, że te wyzionęły ducha, prosząc Mahometa, by pomstę zesłał na tę niegodziwą kobietę i całą jej rodzinę.

Na hałas, jaki ta niecodzienna walka wywołała w dolince, Gulszenruz obudził się, zrobił skok gwałtowny, wdrapał się na drzewo figowe i docierając do wierzchołka skały, pobiegł bez tchu; wreszcie padł jak nieżywy w ramiona dobrego starego Ducha, co ubóstwiał dzieci i zajmował się wyłącznie sprawowaniem pieczy nad nimi. Duch ten, dokonując swego obchodu sfer powietrznych, rzucił się na okrutnego giaura, gdy ten pomrukiwał w swej okropnej szczelinie, i wyrwał mu pięćdziesięciu małych chłopców, których Wathek bezbożnie mu poświęcił. Wychowywał on te ciekawe stworzenia w gniazdach wzniesionych nad chmurami, a sam zamieszkiwał gniazdo większe niż wszystkie inne razem wzięte, z którego przepędził ptaki-roki, co je pobudowały.

Bezpieczne te schronienia bronione były przed Divami i Ifrytami przez flagi powiewające, na których wypisane były złotymi literami lśniącymi jak błyskawice imiona Allacha i Proroka. Wówczas

Gulszenruz, który nie wyszedł jeszcze z błędu co do swojej rzekomej śmierci, pomyślał, że znalazł się w siedzibach wiecznego pokoju. Bez obaw oddał się czuło-ściom swych małych przyjaciół; wszyscy zebrali się w gnieździe czcigodnego Ducha i jeden z drugim do woli całowali gładkie czoło i śliczne powieki swego nowego towarzysza. Tam to, z dala od ziemskich kłopotów, od głośnego życia haremów, brutalności eunuchów i niestałości kobiecej, znalazł on swe prawdziwe miejsce. Szczęśliwy tak samo jak i jego współtowarzy-sze, dni, miesiące i lata spędzał w tej spokojnej społeczności: gdyż Duch, miast podopiecznych swych obsypywać bogactwami przemijającymi i prózną wiedzą, wyposażył ich w dar wiecznego dzieciństwa.

Karatis, nieprzywykła oglądać, jak zdobycz jej ucieka, wpadła w złość straszliwą na Murzynki, oskarżając je, że od razu dziecka nie złapały, a zabawiały się szczypaniem na śmierć karzełek, które żadnego znaczenia nie miały. Wróciła pomrukując do doliny; a widząc, że syn jej nie podniósł się jeszcze od swej piękności, wyładowała swój zły humor na nim i na Nur en-Nahar; wszelako pocieszyła się myślą, że następnego dnia wyruszą do Perse-polis i że z samym Iblisem znajomość zawrze dzięki usługom łaskawym giaura; ale przeznaczenie inaczej zrządziło.

Pod wieczór, gdy księżna rozprawiała z Dilarą, którą sprowadzić kazała i która bardzo do gustu jej przypadła, Baba Baluk przyszedł powiedzieć jej, że niebo od strony Samarry było nadzwyczaj rozplomienione i zdawało się coś nieszczęsnego zwiastować. Natychmiast po-chwyciła swoje astrolaby i instrumenty magiczne, zmierzyła wysokość planet, obliczeń swych dokonała i ujrzała ku wielkiemu swemu niezadowoleniu, że bunt straszny wybuchł w Samarze; że Mutawakkil, wykorzystując zgrozę, jaką brat jego wzbudzał, lud podburzał, zawładnął pałacem i zrobił oblężenie wielkiej wieży, gdzie schronił się Murakanabad z niewielką garstką tych, co mu jeszcze wierni zostali.

— Co? — wykrzyknęła — Miałabym stracić moją wieżę, moje niemowy, moje Murzynki, moje mumie, a nade wszystko mój gabinet doświadczalny, który tyle nocy bezsennych mnie kosztował, i to nie wiedząc, czy syn mój nierozważny do brnie do celu swej przygody? Nie, nie dam się oszukać; ruszam natychmiast, żeby wesprzeć Murakanabada moją straszliwą sztuką i na spiskowców spuścić deszcz gwoździ i kawałków rozpalonego żelaza; otworzę mo-je magazyny

węzy, które znajdują się pod wielkimi kopułami wieży, a które głód do wściekłości doprowadził, i zobaczymy, czy uda się takich napastników odeprzeć.

Co mówiąc, Karatis pobiegła do swego syna, który spokojnie ucztował z Nur en-Nahar w swym pięknym jasnowiśniowym namiocie.

— Ty żarłoku jeden — rzekła do niego — bez mojej czujności byłbyś niedługo najwyżej pasztetów Komandorem. Wierni twoi wyparli się wiary, jaką ci poprzysięgli; Mutawakkil, brat twój, panuje w tej chwili nad Wzgórzem Srokatych Koni; a gdybym w naszej wieży kilku drobnych środków zaradczych nie posiadała, nie tak szybko popuściłby on swej zdobyczy. Ale żeby czasu nie tracić, tylko cztery słowa ci powiem: zwiń twe namioty, wyrusz dziś wieczór jeszcze, a nie zatrzymuj się nigdzie bez potrzeby. Chociaż nie dotrzymałeś warunków pergaminu, zostało mi jeszcze trochę nadziei; gdyż, przyznać trzeba, bardzo pięknie pogwałciłeś prawa gościnności uwodząc córkę emira po tym, jak sól i chleb jego jadłeś. Taki rodzaj manier podobać się może tylko giaurowi; a jeśli po drodze jeszcze jakiejś małej zbrodni dokończysz, wszystko dobrze pójdzie i w triumfie wejdiesz do pałacu Sulejmana. Żegnaj! Al-Bufaki i moje Murzynki przed bramą na mnie czekają.

Kalif nic na to wszystko nie odpowiedział; życzył swej matce szczęśliwej podróży i dokończył wieczerzać. O północy zwinął obóz przy dźwiękach fanfar i trąbek; ale mimo bicia w kotły na całego nie udało się zagłuszyć krzyków emira i jego starców, którzy z nadmiaru płaczu oślepli i ani jeden włoszek im na głowie nie pozostał. Nur en-Nahar, której wrzawa ta przykrość sprawiała, była nader rada, kiedy znalazła się już poza jej obrębem. Siedziała razem z kalifem w lektyce cesarskiej, a zabawiali się wyobrażaniem sobie wszystkich wspaniałości, jakimi mieli być wkrótce otoczeni. Inne żony smutnie w swych klatkach siedziały, a Dilara uzbrajała się w cierpliwość, myśląc o tym, jak będzie celebrować rytuał ognia na wspaniałych tarasach Persepolis.

Po czterech dniach znaleziono się w dolinie Roknabad. Wiosna była tam w całej swej pełni, a dziwaczne gałęzie drzew migdałowych odcinały się na lazurze skrzącego się nieba. Ziemia usłana hiacyntami i żonkilami wydzielala słodki zapach; tysiące pszczół i prawie tyle samo fakirów miało tam swą siedzibę. Widać było ustawione na

przemian w rzędzie nad brzegami strumienia ule i kapliczki, których czystość i biel podkreślone były brunatną zielenią wysokich cyprysów. Nabożni samotnicy zabawiali się uprawianiem małych ogródków, pięknych owoców, a przede wszystkim melonów muszkatelowych, najlepszych w całej Persji. Niekiedy widziało się ich rozproszonych na łące, zabawiających się karmieniem pawi białych od śniegu i lazurowych turkawek. Byli oni w ten sposób właśnie zajęci, gdy przedni gońcy cesarskiego orszaku głośno zakrzyknęli:

— Mieszkańcy Roknabad, padnijcie na twarz na brzegach waszych przejrzystych źródeł i uczynicie dziękczynienie Niebu, które ukazuje wam promień swej chwały: gdyż oto sam Komandor Wiernych się zbliża.

Biedni fakirzy, przepelnieni świętą gorliwością, pospieszyli zapalić świece woskowe we wszystkich kapliczkach, rozłożyli swe alkorany na hebanowych pulpitych i wyszli naprzeciw kalifa z koszykami napełnionymi figami, miodem i melonami. Podczas gdy posuwali się naprzód w uroczystym pochodzie i krokiem odmierzonym, konie, wielbłądy i strażnicy dokonywały szkód straszliwych pośród tulipanów i innych kwiatów doliny. Fakirzy nie mogli powstrzymać się od żalosnego spojrzenia na to spustoszenie, choć jednocześnie wpatrywali się w kalifa i Niebo. Nur en-Nahar, zachwycona tymi pięknymi okolicami, które przypominały jej miłe samotnie dzieciństwa, poprosiła Watheka, żeby się zatrzymać; ale książę, myśląc, że wszystkie te małe kapliczki mogłyby uchodzić w pojęciu giaura za miejsca zamieszkania, rozkazał swym pionierom zburzyć je. Fakirzy jak skamieniali towarzyszyli wykonywaniu tego barbarzyńskiego rozkazu; zapłakali rzewnymi łzami, a Watek rozkazał eunuchom przegnać ich kopniakami. Dopiero wtedy wysiadł ze swej lektyki razem z Nur en-Nahar i zaczęli przechadzać się po łące, cały czas zbierając kwiaty i opowiadając sobie swawolne historyjki; ale pszczoły, które były dobrymi muzułmankami, czuły się w obowiązku pomszczenia sprawy swych drogich panów, fakirów, i z takim zapamiętaniem kąsać ich zaczęły, że byli nazbyt szczęśliwi, iż namioty ich znalazły się gotowe na ich przyjęcie.

Baba Baluk, którego uwagi nie uszła pulchność pawi i turkawek, kazał natychmiast nadziać kilka ich tuzinów na rożen i tyle samo wsadzić do gulaszu. Jedzono, żartowano, przepijano do siebie, bluźniono, ile się komu podobało, kiedy wszyscy mullahowie,

wszyscy szeiko-wie, wszyscy kadi i wszyscy imamowie z Sziraz, którzy najwidoczniej nie spotkali się z faki-rami, przybyli z osłami ustrojonymi w wieńce, wstążki i srebrne dzwoneczki i obładowanymi tym wszystkim, co było w kraju najlepszego. Przedstawili swe dary kalifowi, prosząc go, by zaszczyił ich miasto i meczety swoją obecnością.

— Och! Jeśli o to chodzi — rzekł Wathek — pilnie będę się wystrzegał; przyjmuję wasze dary i proszę, byście mnie zostawili w spokoju, gdyż nie lubię się opierać pokusie; ale że nie godzi się, by ludzie równie jak wy czcigodni wracali na piechotę i że macie miny dość kiepskich jeźdźców, moi eunuchowie będą na tyle przezorni, by przywiązać was do waszych osłów, a przypilnują zwłaszcza, byście mi pleców niepokazywali; znają oni bowiem etykietę.

Znajdowali się między nimi dziarscy szeikowie, którzy myśląc, że Wathek zwariował, głośno wyrażali swoją na ten temat opinię; Baba Baluk zatroszczył się o to, żeby skrepować ich podwójnymi powrozami, i wszystkie osły, skłute cierniami, ruszyły z kopyta, cały czas wpadając na siebie i objijając się wzajemnie w sposób najzabawniejszy w świecie. Nur en-Nahar i jej kalif bawili się wspaniale z tego oburzającego przedstawienia; wybuchali głośnym śmiechem, kiedy starcy razem ze swymi wierzchowcami wpadali do strumienia i gdy jedni stawali się kulawi, inni bezręcy, inni szczerbaci albo jeszcze gorzej.

Dwa dni spędzono nader cudownie w Roknabad, bez żadnych już przeszkód i zakłóceń. Trzeciego w drogę ruszono; pozostawiono Sziraz na prawo i wydostano się na wielką równinę, z której odkryto, na skraju horyzontu, czarne szczyty gór Persepolis.

Na ten widok kalif i Nur en-Nahar, nie mogąc zapanować nad uniesieniem swych serc, wyskoczyli z lektyki na ziemię i wydawali okrzyki, które zadziwiły tych wszystkich, co byli w stanie je usłyszeć. Czy pójdziemy do pałaców jasnością promieniejących, zapytywali jedni drugich, czy też do ogrodów rozkoszniejszych aniżeli te z Szeddad? Biedni śmiertelnicy! Tak oto snuli przypuszczenia, ale głębia sekretów Wszchemogącego ukryta dla nich była.

Tymczasem dobre Duchy, co czuwały jeszcze trochę nad postępowaniem Watheka, udały się do siódmego nieba przed Mahometa i powiedziały mu:

— Miłosierny Proroku, wyciągnij swe łaskawe ramiona do twego

wikariusza, gdyż wpadnie on bez ratunku w pułapki, jakie wrogie nam Divy na niego pozostawiały; giaur czeka na niego we wstrętym pałacu ognia podziemnego; jeśli postawi tam stopę, stracony jest bezpowrotnie.

Mahomet odrzekł z oburzeniem:

— Zasłużył on sobie aż nadto, żeby go samemu sobie zostawić; wszelako zgadzam się jeszcze jednego wysiłku dokonać, aby odwieść go od jego przedsięwzięcia.

I dobry Duch przyjął twarz pasterza słynnego ze swej pobożności bardziej od wszy-stkich derwiszów i fakirów w całej okolicy, usadowił się na zboczu pagórka przy stadku bia-łych owieczek i grać zaczął na instrumencie nieznanym arie, których wzruszająca melodia przenikała duszę, wzbudzała wyrzuty sumienia i przepędzała wszelką myśl frywolną. Na te tak energiczne dźwięki słońce skryło się za ciemną chmurę, a wody jeziora, bardziej od kry-sztalu przejrzyste, stały się jak krew czerwone. Wszyscy ci, co tworzyli okazały orszak kalifa, zostali przyciągnięci, jak gdyby wbrew sobie, w stronę pagórka; oczy pospuszczali trwając w zakłopotaniu. Każdy wyrzucał sobie zło, jakie był uczynił; serce zabiło Dilarze, a szef eunu-chów, ze skruszoną miną, prosił o przebaczenie kobiety za to, że często dręczył je dla własnej satysfakcji.

Wathek i Nur en-Nahar pobledli w swej lektyce i patrząc na siebie błędnym wzrokiem wyrzuty sobie robili, jedno z powodu tysiąca najczarniejszych zbrodni, tysiąca projektów o bezbożnej ambicji, a drugie z powodu spustoszenia dokonanego w swej rodzinie i zguby Gul-szenruza. Nur en-Nahar zdawało się, że słyszy w tej muzyce fatalnej krzyki swego konające-go ojca, a Wathek szlochy pięćdziesięciorga dzieci, które giaurowi poświęcił. W trwożnej tej udręce zbliżali się mimo woli wciąż ku pasterzowi. Fizjonomia jego miała w sobie coś tak podniosłego, że po raz pierwszy w swym życiu Wathek zmieszał się, podczas gdy Nur en-Nahar twarz w dłoniach ukryła. Muzyka ustała, a Duch zwracając się do kalifa powiedział:

— Książę szalony, któremu Opatrzność powierzyła opiekę nad ludami! Jak to wypeł-niasz swe posłannictwo? Dopełniłeś miary twych zbrodni; spieszno ci teraz biec ku swej ka-rze? Czy wiesz, że za tymi górami Iblis i jego przekłete Divy mają swe złowrogie cesarstwo i, zwiedziony przez złośliwego upiora, idziesz im wydać siebie? Tutaj to dany ci został ostatni moment łaski; porzuć twój straszliwy projekt,

zawróć .ze swej drogi, oddaj Nur en-Nahar jej ojcu, któremu jeszcze trochę życia zostało, zniszcz wieżę z wszystkimi jej paskudztwami, przepędź Karatis spośród twych doradców, bądź sprawiedliwy dla twych poddanych, poważaj Ministrów Proroka, napraw bezbożności przykładnym żywotem i zamiast pędzić tve dni wśród rozkoszy idź swe zbrodnie oplakiwać na grobach bogobojnych twych przodków! Czy widzisz te chmury, co słońce ci skrywają? W chwili gdy gwiazda ta ukaże się na nowo, jeśli serce twoje nie odmieni się, czas miłosierdzia przeminie dla ciebie.

Wathek, przejęty trwogą i wahaniem, już był prawie gotów paść na twarz przed paste-rzem, w którym wyczuwał dobrze obecność nadczłowieczego bytu, ale pycha jego wzięła górę i zuchwale głowę podnosząc rzucił mu jedno ze swych straszliwych spojrzeń.

— Kim byś nie był — rzekł do niego — zaprzestań dawać mi niepotrzebne rady. Albo chcesz mnie oszukać, albo też sam siebie oszukujesz; jeśli to co zrobiłem, jest aż tak zbrodni-cze, jak ty to utrzymujesz, nie dałoby się znaleźć dla mnie chwili łaski: pływałem w morzu krwi, by dojść do potęgi, przed którą zadrzą tobie podobni; nie pochlebiaj więc sobie, że cofam się na widok portu ani że porzucam tę, co droższa mi jest nad życie i nad twoje miło-sierdzie. Niech słońce ukaże się na nowo, niech oświecili moją drogę; co mnie obchodzi, dokąd ona prowadzi!

Mówiąc te słowa, na które sam Duch zadrzał, Wathek rzucił się w ramiona Nur en-Nahar i rozkazał zmusić konie do podjęcia szerokiej drogi.

Nie było trudności z wykonaniem tego rozkazu; przyciąganie przestało już działać, słońce odzyskało cały blask swej światłości, a pasterz znikł wydając żalony okrzyk. Fatalne działanie muzyki Ducha pozostało jednak w sercu większości ludzi Watheka; patrzyli po sobie z przerażeniem. Tej samej nocy prawie wszyscy umknęli i nie zostało z tego licznego orszaku nikogo prócz szefa eunuchów, kilku bałwochwalczych niewolników, Dilary i nie-wielkiej liczby innych kobiet, które tak jak i ona wyznawały religię Magów.

Kalif, pożerany przez ambicję wydawania praw mocom nieczystym, nie bardzo przejął się tą dezercją. Wrzenie krwi nie dawało mu zasnąć, zazwyczaj nie rozbijał już obozu. Nur en-Nahar, której niecierpliwość przewyższała, o ile to możliwe, jego własną, nalegała, by przyspieszył kroku, i żeby go odurzyć, tysiąca czułych

pieszczot mu nie szczędziła. Wydawało jej się, że jest już potężniejsza niż Balkis, i wyobrażała sobie, że widzi Duchy ukorzone przed podestem swego tronu. Posuwali się tak naprzód w blasku księżyca, aż ukazały się dwie wyniosłe skały, co tworzyły jak gdyby portal u wejścia do dolinki, której drugi kraniec stanowiły okazałe ruiny Persepolis. Prawie u wierzchołka góry widniała fasada kilku grobowców królewskich, których straszność powiększały cienie nocy. Przejechano przez dwa miasteczka prawie zupełnie opuszczone. Pozostało tam tylko dwóch czy trzech bezsilnych starców, którzy widząc konie i lektyki padli na kolana wykrzykując:

— Nieba! Czy to znowu te upiory, które dręczą nas od sześciu miesięcy? Biada nam! Ludzie nasi przerażeni tymi dziwnymi widmami i hałasem, jaki w głębi gór słychać, porzucili nas na łaskę mocy nieczystych!

Skargi te wydały się złą wróżbą kalifowi; kazał przejechać końmi po ciałach biednych starców i dotarł wreszcie do podnóża wielkiego tarasu z czarnego marmuru. Tam wysiadł z lektyki razem z Nur en-Nahar. Z bijącym sercem i rzucając błędne spojrzenia na wszystkie przedmioty oczekiwali z mimowolnym dreszczem przybycia giaura; ale nic jeszcze go nie zwiastowało. Cisza grobowa panowała w powietrznych sferach i wśród gór. Księżyc odbijał na wielkiej platformie cienie wyniosłych kolumn, co z tarasu wyrastały do chmur niemal. Te smętne latarnie, których ilość zaledwie mogła być obliczona, nie były żadnym dachem przykryte, a gzymsy ich, o architekturze w ziemskich annałach nie znanej, służyły za schronienie ptakom nocnym, które zaalarmowane zbliżaniem się tak dużej ilości ludzi, wzbiły się w powietrze pokrakując.

Szef eunuchów, przejęty strachem, błagał Watheka, żeby pozwolił zapalić ognisko i żeby można było pożywić się trochę.

— Nie, nie — odpowiedział kalif — nie czas już myśleć o rzeczach tego rodzaju; zostań tam, gdzie jesteś, i czekaj na moje rozkazy!

Mówiąc te słowa tonem stanowczym, podał dłoń Nur en-Nahar i wchodząc na stopnie obszernego podjazdu dotarł na taras, który był wybrukowany marmurowymi kostkami, przypominając jednolitą taflę jeziora, gdzie żadne ziele wyrósć nie może. Na prawo znajdowały się latarnie rzędem ustawione przed ruinami olbrzymiego pałacu, którego mury pokryte były różnymi figurami; na wprost widać

było gigantyczne posągi czterech zwierząt, które miały coś z gryfa i lamparta i które trwozę wzbudzały; w pobliżu nich widać było w świetle księżyca, który szczególnie jasno to miejsce oświetlał, znaki pisemne podobne do tych, co były na szablach giaura; miały one tę samą właściwość zmieniania się co chwila; wreszcie utrwaliły się w literach arabskich i kalif wyczytał tam te słowa: „Watheku, nie dotrzymałeś warunków mojego pergaminu; zasługiwałbyś na to, żeby odprawić cię z powrotem, ale przez wzgląd na twą towarzyszkę i na to wszystko, co zrobiłeś, żeby ją zdobyć, Iblis zezwała, by otwarto ci bramy jego pałacu i aby ogień podziemny zaliczył cię pomiędzy swych wielbicieli”.

Zaledwie słowa te przeczytał, gdy góra, do której taras przylegał, zadrżała, a latarnie zdawało się, że runą na ich głowy. Skała rozwarła się i pozwoliła ujrzeć w swej głębi schody z wypolerowanego marmuru, które czyniły wrażenie, że schodzą do otchłani. Na każdym stopniu ustawione były dwie wielkie świece woskowe podobne do tych, które Nur en-Nahar widziała w swej wizji, a których kamforowy opar wznosił się i kłębił pod sklepieniem.

Widok ten zamiast przerazić córkę Fahr ed-Dina dodał jej nowej odwagi; ani nawet nie raczyła pożegnać księżyca i firmamentu i bez wahania porzuciła czyste powietrze atmosfery, by zanurzyć się w piekielnych wyziewach. Krok tych dwojga bluźnierców dumny był i stano-wczy. Schodząc w żywym świetle pochodni podziwiali się wzajemnie, a wydawali się sobie tak promieniejący, że wzięli się za boskie istoty. Jedyłą rzeczą, jaka ich niepokoiła, było to, że stopnie końca nie miały. Ponieważ popędzała ich pałaca niecierpliwość, kroki ich tak wie-lkiej nabrały prędkości, że zdawało się, iż spadają raczej w przepaść, aniżeli schodzą; w końcu powstrzymani zostali przez wielki hebanowy portal, z rozpoznaniem którego kalif nie miał trudności: tam to giaur oczekiwał go ze złotym kluczem w dłoni.

— Witam was na przekór Mahometowi i całej jego czeredzie — powiedział do nich ze swoim okropnym uśmiechem. — Zaraz wprowadzę was do tego pałacu, gdzie zajmiecie tak dobrze zasłużone miejsce.

Te słowa mówiąc dotknął swym kluczem emaliowanego zamka i natychmiast oba skrzydła bramy otwały się z hukiem większym niż huk pioruna w czasie letniej burzy, i zatrzasnęły się z tym samym hałasem, gdy tylko weszli do środka.

Kalif i Nur en-Nahar popatrzyli na siebie ze zdziwieniem, widząc, że znaleźli się w miejscu, które jakkolwiek było przykryte sklepieniem, robiło wrażenie tak przestronnego i wyniosłego, że wzięli je najpierw za olbrzymią równinę. Oczy ich przyzwyczajając się w końcu do ogromu przedmiotów, odkryły szeregi kolumn i arkad, które stawały się coraz to mniejsze, a na końcu ich znajdował się punkt promieniający jak słońce, kiedy rzuca na morze ostatnie swe promienie. Brak, zasłany złotym i szafranowym pyłem, wydzieliał woń tak subtelną, że zostali nią jakby odurzeni. Posuwali się jednak dalej naprzód i dostrzegli nieskończone mnóstwo kadzielniczek, gdzie płonęły ambra szara i drewno aloesu. Pomędzy kolumnami stały stoły zastawione różnorodnością niezliczoną potraw i wszelkimi rodzajami win, co pieniły się perłście w kryształowych wazach. Tłum cały dzinnów i innych chochlików płci obojga tańczył lubieżnie w grupkach przy dźwiękach muzyki, co pod ich krokami rozbrzmiewała.

Pośrodku tej olbrzymiej sali tłum mężczyzn i kobiet się przechadzał, a wszyscy oni, trzymając prawą dłoń na sercu, nie zwracali na żaden z przedmiotów uwagi i zachowywali głębokie milczenie. Wszyscy byli bladzi jak trupy, a ich zapadnięte oczy podobne były do tych błędnych ogników, jakie można dostrzec nocą na cmentarzach. Jedni pogrążeni byli w głębokiej zadumie, inni pienili się z wściekłości i rzucali się na wszystkie strony jak tygrysy zranione zatrutym pociskiem; wszyscy siebie unikali i jakkolwiek pośród tłumu, każdy błąkał się bez celu, jak gdyby był sam.

Na widok tej nieszczęsnej gromady Watheka i Nur en-Nahar ogarnęła trwoga. Z natarczywością dopytywali się giaura, co to wszystko ma znaczyć i dlaczego wędrujące widma nie zdejmowały nigdy prawej ręki ze swego serca.

— Nie zajmujcie się tyłoma rzeczami w obecnej porze — odrzekł im gburowato — dowiedcie się wszystkiego niedługo. Pospieszmy się stawić przed Iblisem.

Szli więc tak dalej poprzez całe to towarzystwo, ale mimo swej początkowej pewności siebie nie ośmielali się zwracać uwagi na perspektywy sal i krużganków, które otwierały się na prawo i lewo; wszystkie one były oświetlone pochodniami gorejącymi i żarzącymi się węglami, których blask płomienny wzbijał się piramidalnie aż do środka sklepienia kopuły. Przybyli wreszcie do miejsca, gdzie długie

zasłony z karmazynowego i złotego brokatu opa-dały z wszystkich stron w imponującym nieładzie. Tam to nie słyhać już było chórów muzy-cznych ani tańców; światło, które tam przenikało, zdawało się pochodzić z oddali.

Wathek i Nur en-Nahar utorowali sobie drogę poprzez te kotary i weszli do obszernego namiotu wyłożonego skórami lampartów. Nieskończona liczba starców z długimi brodami, Ifrytów w pełnym uzbrojeniu korzyła się u stóp tronu, na którym, siedząc na ognistej kuli, ukazywał się straszliwy Iblis. Oblicze miał dwudziestoletniego młodzieńca, którego rysy szla-chetne i regularne zdawały się być zniszczone przez szkodliwe opary. Rozpacz i duma malo-wały się w jego wielkich oczach, a falująca jego czupryna miała jeszcze coś z tej anielskiej światłości. W swej dłoni delikatnej, lecz poczerniałej od pioruna, trzymał berło spiżowe, przed którym drżał potwór Uranbad, Ifryci i wszystkie moce otchłani.

Na ten widok kalif stracił wszelką pewność siebie i upadł twarzą do ziemi. Nur en-Nahar, chociaż głęboko przejęta, nie mogła powstrzymać się, żeby nie podziwiać kształtów Iblisa, gdyż oczekiwała ujżenia jakiegoś straszego potwora. Iblis głosem łagodniejszym, niżby należało przypuszczać, ale który wnosił do duszy czarną melancholię, powiedział do nich:

— Stworzenia z gliny, przyjmuję was do mego cesarstwa; jesteście wśród liczby moich wielbicieli; używajcie wszystkiego, co pałac ten oczom waszym przedstawia, skarbów sułta-nów preadamickich, ich szabli piorunujących i talizmanów, które zmuszą Divy do otwarcia wam podziemi góry Kaf, co z tymi tu oto są połączone. Tam to znajdziecie wszystko, co może zaspokoić waszą nienasyconą ciekawość. Od was tylko zależeć będzie, by wkroczyć do twierdzy Ahermana i do sal Argenk, gdzie wymalowane są wszystkie istoty rozumne i zwie-rzęta, co zamieszkiwały ziemię przed stworzeniem tej godnej pogardy kreatury, którą wy nazywacie ojcem ludzi.

Wathek i Nur en-Nahar poczuli się pokrzepieni i uspokojeni tą przemową. Powiedzieli z zapalem do giaura:

— Prowadź nas jak najszybciej do miejsca, gdzie znajdują się te cenne talizmany.

— Chodźcie — odpowiedział ten giaur niegodziwy, ze swym perfidnym grymasem — chodźcie, zdobędziecie wszystko to, co pan

nasz wam obiecuje, i znacznie więcej jeszcze.

Wówczas wprowadził ich w długą aleję, która od namiotu odchodziła; szedł pierwszy wielkimi krokami, a jego nieszczęśni uczniowie radośnie za nim podążali. Dotarli do obszernej sali przykrytej bardzo wyniosłym sklepieniem, wokół której widniało pięćdziesiąt bram z brązu, zamkniętych na stalowe łańcuchy. Panowała w tym miejscu ciemność grobowa, a na łóżach z nieskazitelnego cedru rozciągnięte były ciała wychudłe słynnych królów preadami-ckich, ongiś monarchów wszechmocnych na ziemi. Zostało im jeszcze dosyć życia, żeby roz-poznać swój stan opłakany; oczy ich zachowały smutny odruch; patrzyli oni jeden na drugiego, wszyscy trzymali prawą dłoń na swym sercu. U ich stóp widniały napisy, które przedstawiały wydarzenia z czasu ich panowania, ich moc, ich dumę i ich zbrodnie. Sulejman Raad, Sulejman Daki i Sulejman zwany Gian Ben Gian, którzy, po uwięzieniu Divy w mrocznych jaskiniach Kaf, stali się tak pyszni, że zważyli o mocy najwyższej, zajmowali tam rangę wyróżniającą się, ale nie dającą się porównać z tą, jaką miał prorok Sulejman Ben-Daoud.

Król ten, tak słynny ze swej mądrości, był na najwyższym tronie i tuż pod sklepieniem kopuły. Zdawał się mieć więcej od innych życia; a jakkolwiek od czasu do czasu wydawał głębokie westchnienia i trzymał prawą dłoń na sercu, tak jak jego towarzysze, oblicze jego było bardziej pogodne i zdawał się zwracać uwagę na szum katarakty czarnej wody, jaką widziało się poprzez jedną z bram, która była zakratowana. Żaden inny dźwięk nie mącił ciszy tych posępnych miejsc. Szereg waz spiżowych otaczał tron.

— Zdejmij wieka tych depozytów kabalistycznych — powiedział giaur do Watheka — weź talizmany, które rozbiją wszystkie te bramy z brązu i uczynią cię władcą skarbów, jakie one w sobie ukrywają, i Duchów, co ich strzegą.

Kalif, którego ten przepych złowrogi zupełnie zbił z tropu, zbliżył się do waz chwiejnie, a myślał, że skona z przerażenia, kiedy usłyszał jęki Sulejmana, którego we wzruszeniu swym wziął za trupa. Wówczas z posiniałych ust proroka wydobyły się takie słowa:

— W czasie mego żywota zajmowałem tron wspaniały. Po prawicy mojej było dwanaście tysięcy złotych krzesel, gdzie patriarchowie i prorocy wysłuchiwali mej doktryny; po mej lewicy mędrcy i doktorzy, na tyłu srebrnych tronach, asystowali przy moich

sądach. Podczas gdy w ten sposób wymierzałem sprawiedliwość niezliczonym tłumom, ptaki, bez przerwy tam i z powrotem fruując nad moją głową, służyły mi za baldachim przed słonecznym żarem. Lud mój rozkwitał, moje pałace aż do chmur się wznosiły; zbudowałem świątynię na Wielkiej Wysokości, która była cudem wszechświata; ale nikczemnie ponieść się dałem miłości do kobiet i ciekawości, która nie ograniczyła się do rzeczy ziemskich. Usłuchałem rad Ahermana i córki faraona; wielbiłem ogień i gwiazdy, a opuszczając święte miasto, nakazałem Duchom zbudować wspaniałe pałace Persepolis i taras latarni, z których każda poświęcona była jakiejś gwiazdzie. Tam to, przez czas pewien, cieszyłem się przepychem tronu i rozkoszami; nie tylko ludzie, ale również i Duchy były mi poddane. Wierzyć zaczynałem, tak jak to czynili ci nieszczęśni monarchowie, co mnie otaczają, że zemsta boska była zażegnana, kiedy piorun roztrzaskał moje budowle i wtrącił mnie w to miejsce. Nie jestem w nim jednak, jak wszyscy ci, którzy je zamieszkują, całkowicie pozbawiony nadziei. Anioł jasności powiadomił mnie, że z uwagi na pobożność moich młodych lat męczarnie moje skończą się, kiedy ta katarakta, licząc jej krople, spływać przestanie; ale, niestety, kiedy nadejdzie ten czas tak pożądany? Cierpię, cierpię, ogień bezlitosny pożera moje serce.

Te słowa, mówiąc, Sulejman wznosił obie ręce do nieba na znak błagania, a kalif zoba-czył, że pierś jego była z przezroczyściego kryształu, poprzez który ujrzeć można było jego serce gorejące pośród płomieni. Na ten straszny widok Nur en-Nahar padła jak porażona w ramiona Watheka.

— O giaurze! — wykrzyknął nieszczęsny książę — do jakiego miejsca nas zaprowadzi-leś? Daj nam stąd wyjść; zwalnię cię z tych wszystkich obietnic. O Mahomecie! Czy nie ma już dla nas łaski?

— Nie, już jej nie ma — odpowiedział giaur złośliwy. — Wiedz, że tu właśnie jest miejsce rozpacz i zemsty; serce twoje stanie w płomieniach, tak jak u wszystkich wielbicieli Iblisa; niewiele dni jest ci danych przed tym kresem fatalnym, zużytkuj je, jak zechcesz; sypiaj na stosach złota, rozkazuj mocom piekielnym, przemierzaj te niezmierzone podziemia, żadna brama zamknięta przed tobą nie będzie; co do mnie, misję moją spełniłem i zostawiam cię tobie samemu.

Te słowa mówiąc zniknął.

Kalif i Nur en-Nahar pozostali w śmiertelnym przygnębieniu; łązy nie mogły im spłynąć, zaledwie zdołali trzymać się na nogach; wreszcie smętnie wzięli się za ręce i chwiejnym krokiem wyszli z tej nieszczęsnej sali, nie wiedząc sami, dokąd idą. Wszystkie bramy otwierały się za ich zbliżeniem, Divy pokłony były przed ich krokami, skarbcce rozpościerały przed ich oczyma bogactwa, ale oni nie znali już ciekawości ani dumy, ani chciwości. Z tą samą obojętnością słuchali chórów dzinnów i oglądali wspaniałe posiłki, jakie z wszystkich stron były porozkładane. Szli błakając się z pokoju do pokoju, z sali do sali, z alei do alei, a każde z tych miejsc jednak bez dna i bez granic, wszystkie posepną poświatą oświetlone, wszystkie z tym samym smutnym przepychem przystrojone, wszystkie przemierzane przez ludzi, co szukali na próżno spoczynku i ulgi, gdyż wszędzie nieśli serce w płomieniach dręczone. Unikani przez wszystkich tych nieszczęsnych, którzy spojrzeniami zdawali się jedni drugim mówić sobie: „To ty mnie uwiodłeś”, „To ty mnie zdeprawowałaś”, trzymali się na uboczu i w trwożnej udreće oczekiwali chwili, która miała ich do tych istot grozy pełnych podobnymi uczy-nić.

— Jak to — mówiła Nur en-Nahar — miałby nadejść czas, że wycofam moją dłoń z twojej?

— Ach! — mówił Wathek. — Oczy moje miałyby przestać kiedykolwiek długimi haustami czerpać rozkosz z twoich? Słodkie chwile, jakie razem spędzaliśmy, miałyby wstrętem mnie napawać? Nie, to nie ty byłaś tą, co zaprowadziła mnie do tego okropnego miejsca; to bluźniercze zasady, jakimi Karatis spaczyła moją młodość, stały się przyczyną zguby mojej i twojej. Ach! Niechże ona przynajmniej cierpi razem z nami!

Mówiąc te gorzkie słowa, przywołał Ifrytę, który żar rozniecał, i rozkazał mu porwać księżnę Karatis z pałacu w Samarze i przyprowadzić ją.

Po wydaniu tego rozkazu kalif i Nur en-Nahar szli dalej pośród milczącego tłumu, aż do chwili kiedy posłyszeli rozmowę przy końcu galerii. Przypuszczając, że byli to nieszczęśnicy, którzy tak jak i oni nie otrzymali jeszcze ostatecznego wyroku, podążyli za dźwiękiem gło-sów i odkryli, że wychodziły one z niewielkiego kwadratowego pokoju, gdzie na sofach siedziało czterech dobrze wyglądających młodzieńców i piękna niewiasta, którzy rozmawiali smutnie w słabym

blasku lampy. Wszyscy wygląd mieli posepny i przygnębiony, a dwoje spośród nich obejmowało się z wielką czułością. Widząc kalifa wchodzącego z córką Fahr ed-Dina, powstali uprzejmie, powitali ich i uczynili im miejsce. Następnie ten, który wydawał się z całego towarzystwa najbardziej dystyngowany, zwracając się do kalifa powiedział:

— Cudzoziemcze, który bez wątpienia jesteś w tym samym okropnym co my oczekiwaniu, ponieważ nie nosisz jeszcze prawej ręki na swym sercu; jeśli przybywasz spędzić razem z nami straszne chwile, które mają upłynąć aż do naszej wspólnej kary, zechciej opowiedzieć nam przygody, które zawiodły cię do tego fatalnego miejsca, a my zaznajomimy cię z naszymi, które aż nazbyt zasługują na to, by ich wysłuchać. Wspominać sobie swe zbrodnie, choć już nie czas na skruchę, to jedyne zajęcie, które przystoi takim jak my nieszczęśnikom.

Kalif i Nur en-Nahar przystali na tę propozycję i Wathek zaczął nie bez bólu szczerą opowieść o tym wszystkim, co mu się przydarzyło. Kiedy skończył ponure opowiadanie, młodzieniec, który przemówił do niego, rozpoczął swoje w sposób następujący:

Historia dwóch książąt przyjaciół, Alasi i Firur, zamkniętych w pałacu podziemnym.

Historia księcia Borkiarokh, zamkniętego w pałacu podziemnym.

Historia księcia Kalilh i księżniczki Zul Kajs, zamkniętych w pałacu podziemnym.

Gdy trzeci książę był w trakcie swojego opowiadania, przerwał mu huk, który sprawił, że sklepienie zadrżało i rozwarło się. Wkrótce potem opary, powoli rozpraszając się, pozwoliły ujrzeć Karatis na plecach Ifryty, który skarżył się okropnie na swój ciężar. Zeskoczyła na ziemię i zbliżając się do swego syna rzekła:

— Co ty robisz tu w tym małym pokoju? Widząc, że Divy są ci posłuszne, myślałam, że zasiadasz na tronie królów preadamickich.

— Ohydna kobieto — odpowiedział kalif — przeklętym niech będzie dzień, w którym na świat mnie wydałaś! Idź, podąż za tym Ifrytą, niech zaprowadzi cię do sali proroka Sulej-mana; tam dowiesz się, na co przeznaczony jest ten pałac, który wydawał ci się tak pożądany, i jak bardzo winienem nienawidzić bluźnierczych nauk, które mi dawałaś!

— Potęgą, jaką osiągnąłeś, rozum ci zmąciła — odrzekła Karatis.

— Niczego bardziej nie pragnę, jak złożyć moje uszanowanie prorokowi Sulejmanowi. Musisz jednak wiedzieć, że ponieważ Ifryta powiedział mi, że ani ty, ani ja nie wrócimy już więcej do Samarry, poprosiłam go, by pozwolił mi uporządkować moje sprawy, a on był uprzejmy zgodzić się na to. Nie omieszkałam wykorzystać tych chwil; podłożyłam ogień pod naszą wieżę, gdzie spaliłam żywcem niemowy, Murzynki, torpedy i węże, które przecież wiele usług mi oddały, a była-bym zrobiła to samo z wielkim wezyrem, gdyby nie porzucił mnie dla Mutawakkila. Co do Baba Baluka, który był na tyle głupi, że wrócił do Samarry i całkiem po prostu poznajdywał tam mężów dla twoich żon, byłabym poddała go torturom, gdybym miała czas na to; ale po-nieważ spieszyłam się, kazałam go tylko powiesić po zastawieniu na niego pułapki, by ścią-gnąć go do siebie tak samo jak i żony; kazałam zakopać je wszystkie żywcem przez moje Murzynki, które zużyły w ten sposób ostatnie swe chwile ku swej wielkiej satysfakcji. Co do Dilary, która podobała mi się zawsze, wykazała ona swój rozsądek oddając się tu w pobliżu na służbę do pewnego Maga i myślę, że wkrótce będzie jedną z naszych.

Wathek za bardzo był przerażony, żeby wyrazić oburzenie, jakie wywołała w nim taka przemowa; rozkazał Ifrycie wyprowadzić Karatis od siebie i pozostał w smętnej zadumie, któ-rej towarzysze jego nie ośmielili się zakłócić.

Karatis tymczasem wtargnęła gwałtownie do samej kopuły Sulejmana i nie zwracając uwagi najmniejszej na westchnienia proroka ściągnęła zuchwale z waz wieka i zagarnęła tali-zmany. Wówczas głosem tak donośnym, jakiego nigdy jeszcze w tych miejscach nie słyszano, rozkazała Divom, żeby jej pokazały skarby najbardziej ukryte, skarbcę najgłębszą, których sam Ifryta nigdy jeszcze nie widział. Przeszła stromymi pochyłościami, jakie znane były tylko Iblisowi i najpotężniejszym z jego faworytów, i wtargnęła przy pomocy tych talizmanów aż do wnętrzości ziemi, skąd wieje sanfar, lodowaty wiatr śmierci; nic nie przerażało jej niepo-skromionego serca. Jednakże znajdowała ona u tych wszystkich ludzi, co trzymali prawą rękę na sercu, pewną małą osobliwość, która jej się nie podobała.

Kiedy wychodziła z jednej z tych otchłani, Iblis przedstawił się jej oczom. Ale mimo całej okazałości jego majestatu nie straciła dumnej miny, a nawet wyraziła mu swe komple-menty z wielką

przytomnością umysłu. Wspaniały ten monarcha odrzekł jej:

— Księżno, której wiedza i zbrodnie zasługują na wywyższone miejsce w mym pań-stwie, dobrze czynisz używając wolnego czasu, jaki ci pozostał, gdyż płomienie i katusze, które wkrótce twoim sercem zawładną, dostarczą ci dosyć zajęcia.

Te słowa mówiąc znikł wśród draperii swego namiotu.

Karatis pozostała trochę zbita z tropu, ale zdecydowana iść aż do końca i podążać za radą Iblisa, zgromadziła wszystkie chóry dzinnów i wszystkie Divy, żeby ich hołdy przyjmować. Kroczyła więc tak w triumfie, poprzez opar woni i wśród oklasków złośliwych duchów, których większość była jej znajoma. Miała już nawet zrzucić z tronu jednego z Sulejmanów, żeby zająć jego miejsce, kiedy głos, wychodzący z otchłani śmierci, wykrzyknął:

— Wszystko dokonało się!

Natychmiast dumne czoło nieustraszonej księżnej pokryło się zmarszczkami agonii; wydała bolesny okrzyk i serce jej stało się żagwią płonąca. Położyła na nim swą prawą dłoń, by nigdy więcej już jej nie odjąć.

W tym stanie szалу, zapominając o swych ambitnych zamiarach i swej żądzy wiedzy, która winna była być ukryta przed śmiertelnikami, wyróciła ofiary, jakie dzinny u jej stóp złożyły, a przeklinając godzinę, w której się narodziła, i łono, które ją nosiło, zaczęła biec, by nie zatrzymać się już więcej ani nie zaznać chwili spoczynku.

W tym samym prawie czasie ten sam głos obwieścił kalifowi, Nur en-Nahar, czterem książętom i księżniczce nieodwołalny wyrok. Serca ich stanęły w płomieniach, a wtedy stało się, że utracili najcenniejszy z darów Nieba, nadzieję! Nieszczęśni ci rozłączyli się, rzucając sobie nienawistne spojrzenia. Wathek nie widział już w oczach Nur en-Nahar niczego więcej jak tylko wściekłość i mściwość; ona w jego widziała jedynie odrazę i rozpacz. Dwaj zaprzy-jaźnieni książęta, którzy aż do tej chwili czule się obejmowali, z dreszczem obrzydzenia od-dalili się jeden od drugiego. Kalilh i jego siostra zaczęli sobie wzajemnie złorzeczyć. Dwaj inni książęta okropnymi grymasami i zduszonymi okrzykami dali wyraz wstrętu, jaki do sie-bie odczuwali. Wszyscy pograżyli się w tłumie przeklętym, by błędzić tam przez nieskończo-ność udreki.

Taka była i taka być musi kara za żądze rozpasane i okrutne czyny; taka będzie kara za ciekawość ślepa, która pragnie przedrzeć

się poza granice, jakie Stwórca wyznaczył wiedzy ludzkiej; za ambicję, która chcąc osiąść nauki zastrzeżone dla najczystszych umysłów, zdo-bywa tylko pychę niedorzeczną i nie widzi, że stan człowieczy wymaga pokory i nieświado-mości.

Tak to kalif Wathek, który żeby zdobyć przepych próżny i niedozwoloną potęgę splamił się zbrodni tysiącem, ujrzał się wydanym na pastwę wyrzutów sumienia i boleści bez końca i bez granic; tak to skromny, pogardzany Gulszenruz spędził wieki w słodkim ukojeniu i szczę-ściu dzieciństwa.

Posłowie

Na jednej z książek w swojej bibliotece William Beckford skreślił następujące słowa: „Natchnienie, które mnie porwało i kazało napisać *Watheka*, trzymało mnie w swej mocy dwa dni i jedną noc”. W natchnieniu więc i w porywie młodzieńczej wyobraźni powstała w kilkadziesiąt godzin — oczywiście w pierwszym zarysie — słynna powiastka. Zarówno jej geneza, jak i jej treść są tak nie-rozłącznie związane z przeżyciami i osobowością autora, który również swe własne życie układał w romans, iż warto tu przytoczyć z owego życia najistotniejsze wydarzenia.

Beckford pochodził z rodziny bogatych i przedsiębiorczych kolonizatorów. Źródłem rodzinnej fortuny stały się plantacje trzciny cukrowej założone w XVII w. na Jamajce. Ojciec pisarza, znany whig i patriota, był jakiś czas burmistrzem City londyńskiej, posłem do parlamentu i przyjacielem naj-znakomitszych ówczesnych polityków oraz mężów stanu. Umarł w r. 1770 czyniąc dziesięcioletniego Beckforda dziedzicem wspaniałej posiadłości rodzinnej, choć nie

rodowej, w Fonthill w hrabstwie Wiltshire, oraz właścicielem rozległych plantacji na Jamajce. Mając lat dwadzieścia jeden, a więc właśnie w okresie powstania *Watheka*, William osiągnął pełnoletniość, a z nią 120 tysięcy funtów szterli-ngów rocznego dochodu. Stał się jednym z najzamożniejszych ludzi na Wyspach Brytyjskich, a jego zawrotne bogactwo, co prawda nieco umniejszane w późniejszych latach wskutek ogólnej sytuacji ekonomicznej Anglii oraz własnej rozrzutności, olśniewało jego współczesnych — chociażby Byrona, który w *Childe-Haroldzie* w r. 1812 nazwał Beckforda „najbogatszym synem Anglii”.

Z nazwiskiem autora *Watheka* łączy się wiele niejasności w jego bujnym i długim życiorysie, sporo skandali wyolbrzymianych szczególnie przez krytyków wiktoriańskich oraz legend, domysłów i zwyczajnej plotki. Jedno jest pewne: z niezależnością materialną łączył Beckford od najwcześniejszej młodości niezależność myśli, skłonność do niekonwencjonalnych postępów, upodobanie do wiedzy „tajemnej” związanej z praktykami magicznymi, zainteresowanie tym, co dziwaczne, nadzwyczajne i odległe od współczesnej rzeczywistości. Pozbawiony już w dzieciństwie opieki rodziców — matka, pochodząca z dobrej szlacheckiej rodziny, odumarła go również bardzo wcześnie — zdany był na ofi-cjalnych opiekunów oraz folgowanie własnym zachciankom i gustom. A gusty owe zamaifestowały się bardzo wcześnie i to zarówno w sferze zainteresowań intelektualnych, jak i upodobań bardziej osobistych, objawiających się w szczególnym stylu życia: organizowaniu intymnych, a jednocześnie przemawiających do wyobraźni i zmysłów przyjęć i fet, w których młody chłopiec ujawniał już do-jrzałe i złożone cechy swojej bez wątpienia fascynującej osobowości. „Jestem zdecydowany czerpać uciechę z moich marzeń, fantazji i dziwactw” — pisał Beckford do przyjaciela w jednym ze swych późniejszych listów. Uciechy stanowią więc część obrosłej w legendę biografii, natomiast dla literatu-ry pozostało spisane jedno z marzeń — historia o kalifie Watheku, okrutnym, zmysłowym, żądnym bogactw, władzy i wiedzy.

Bohater, podobnie jak i autor, który go kreował, protestuje przeciw konwencjonalnemu i mie-szczańskiemu widzeniu świata, przeciw wszelkiej ortodoksji oraz wszelkim nakazom moralnym, gło-sząc swobodę zaspokajania swych cielesnych i intelektualnych

apetytów. Jeśli wszakże twórca *Wathe-ka* pozostał buntownikiem jeszcze na łożu śmierci i jako przeszło osiemdziesięcioletni starzec odmówił pociechy duchowej, którą mu chcieli służyć pastor oraz ksiądz katolicki, to dzieje jego kreacji literackiej, *Watheka*, i konstrukcja ostatecznego losu zarówno samego kalifa, jak i towarzyszących mu na drodze do zguby postaci, przedstawiają się w sposób bardziej wieloznaczny i podlegający rozmaitym interpretacjom. Przyczynia się do tego również sam sposób ukształtowania narracji — jej styl w przeważającej części powiastki ironiczny i żartobliwy, który zaciera granice między literackim żartem, a serio wyłożonym poglądem na los człowieczy w obliczu nieodpartej pokusy.

Powróćmy jednak do genezy utworu, która sama w sobie nosi już cechy nastrojowej i tajemniczej opowieści. Według licznych wypowiedzi Beckforda oraz świadectw mu współczesnych pomysł *Watheka* zrodził się tuż po świętach Bożego Narodzenia 1781 r. spędzonych w Fonthill, gdzie znalazła się m. in. piękna Luiza Beckford, kochanka Williama, a jednocześnie żona jego kuzyna; a ponadto Harriet, jej siostra, z którą ponoć łączyło pana na Fonthill coś więcej niż przyjaźń, oraz kilkoro innych kobiet i mężczyzn bliskich Beckfordowi z racji pokrewieństwa lub może z racji jego dewiacyjnych upodobań. W tej kompanii pięknej i rozbawionej młodzieży znalazł się również zacny pastor Samuel Henley oraz trzech włoskich śpiewaków. Ta mała grupa ludzi oderwana od codzienności i banału zwykłej egzystencji, zamknięta w siedzibie Beckforda, bawiła się przez kilka dni w luksusowo urządzonej apartamentach, wśród szczelnie zaciągniętych kotar, przyćmionych światła, zapachu wschodnich kadzideł i dźwięków muzyki.

Nawet najwięksi obrońcy morale Beckforda przyznają, że owa bożenarodzeniowa feta w Fonthill przybrała formy dość śmiałe, w których nie zabrakło „zabawy” w jakieś wschodnie rytuały czy nawet na półbłuzniercze ceremonie, świadczące o sceptycyzmie lub wręcz o drwinie z ustalonych wierzeń. Z tej właśnie atmosfery wyrażającej fantazję, zmysłowość, obrazoburcze skłonności, a również i humor małego klanu przyjaciół, zrodziła się pierwsza wizja pospiesznie spisanej powiastki.

Był to zresztą pierwszy szkic utworu, który Beckford jeszcze przez kilka miesięcy wygładzał i poprawiał, nadając mu w pierwszej

połowie r. 1782 ostateczny kształt i formę stylistyczną. Napisał *Watheka* po francusku, w języku znanym mu znakomicie od czasów swoich studiów genewskich w latach siedemdziesiątych XVIII w. W języku francuskim powstały również dokonane z języka arab-skiego adaptacje i przekłady niektórych opowiadań z *Tysiąca i jednej nocy*. Spośród nich tylko jeden utwór przełożono na język angielski i wydano przy końcu XVIII w.; reszta pozostała w rękopisach.

W rękopisie również spoczywał przez parę lat sam *Wathek*; przekład powiastki przez przyjaciela Beckforda, pastora Henleya, ukazał się w wersji angielskiej w r. 1786, w oryginale zaś — a więc po francusku — w parę miesięcy później, najpierw w Lozannie, a w r. 1787 w drugiej i poprawniejszej edycji paryskiej.

Dlaczego Beckford skreślił *Watheka* po francusku, podobnie jak i przekłady z powiastek wschodnich? Wszystkie jego inne, zresztą nieliczne utwory, pisane były w języku rodzimym, a ogromny blok korespondencji zachował się w językach angielskim i włoskim. Być może autorowi chodziło o kontynuację bogatej i pięknej orientalistycznej tradycji francuskiej, której zresztą zawdzięcza jego utwór sporo ze swych elementów. Orient pociągał Beckforda od dzieciństwa; znał dobrze język arab-ski i perski, fascynowała go literatura i sztuka wschodnia, chociaż punktem najbardziej wysuniętym na wschód, do którego dotarł w swoich podróżach, była tylko Wenecja. Obraz Orientu w *Watheku*, podobnie jak i postać tytułowego bohatera, zaczerpnięte zostały ze słynnej *Bibliothèque orientale* Herbelota; z niej zapożyczył autor szczegóły topograficzno-geograficzne, malownicze akcesoria, niektóre postacie należące do świata legendy i baśni — m in. władcę podziemnego świata — Iblisa. W przeciwieństwie jednak do licznych francuskich twórców i adaptatorów powiastek w kostiumie orientalnym, którzy przejawiali skłonność do idealizowania władców i obyczajów Wschodu, Beckford wprowadził do swej opowieści znacznie więcej grozy i makabry. Wizja legendarnego i historycznego Orientu Herbelota i Orientu cudownie fantastycznego z opowieści z *Tysiąca i jednej nocy* uzupełniona została wytworami własnej wyobraźni pisarza: obrazem Wschodu okrutnym, dzikim i pełnym niepokoju, traktowanym zresztą często w sposób żartobliwy, w poetyce „czarnego humoru”.

Owa słynna ironia *Watheka*, przejawiająca się w samym traktowaniu postaci głównego bohatera — tyrana i okrutnika, a

jednocześnie komicznego lubieżnika i łakomcy, oraz w epizodach i szczegółach, a zasadzająca się często na kontraście zrodzonym z użycia bardzo konwencjonalnych wyrażen w sytuacjach straszliwych i niezwykłych, dotąd zaciekawia badaczy twórczości Beckforda. Kiedy okrutna Karatis, otoczona swymi ohydnyymi Murzynkami, dokonuje ponurego rytuału na wieży, Beckford pisze: „Żeby oswoić się z okropnościami, o jakich przemyśliwała, została przez czas pewien z Murzynkami, co zezowały uwodzicielsko jedynym okiem, jakie posiadały, i z lubością zerkwały na trupie głowy i szkielety...”

Ironiczny ton, w jakim opowiadane są liczne partie *Watheka*, nie jest wszakże tylko zabiegiem stylistycznym — literacką zabawą przekornego autora. Sarkazm oraz ironia mają również głębsze podłoże, niezwykle bliskie klimatowi powiastek Woltera, z którymi zresztą utwór Beckforda ma wiele cech wspólnych. Nie chodzi tu tylko o zbieżności niektórych szczegółów skwapliwie odnotowywanych przez historyków literatury, ale o podobieństwa wątków myślowych, przejawiających się w satyrze i kpinie z przesądu, surowej świątobliwości, namaszczonej powagi i dogmatycznych wierzeń. Autor nadmieniając o jednym z postojów kalifa odbytym na trasie jego obfitującej w przygody podróży pisze: „Kalif uznał, że woda jest świeża, ale modlitwy śmiertelnie nudne”. Kiedy wygłodzony Wathek nareszcie zabiera się do jedzenia, stwierdza: „W miarę jak jadł, stawał się pobożny; odmawiał swoje modlitwy i domagał się jednocześnie Koranu i cukru”.

Mimo wszakże wątków wolteriańskich, powiastka Beckforda nie przypadła do gustu admiratorom niedawno zmarłego mędrca z Ferney. Wolter, mimo fantastyki i licznych umowności swoich powiastek, był zdecydowanym racjonalistą. U Beckforda tajemnicze i nadprzyrodzone traktowane jest często z brutalnym realizmem, stwarza więc — mimo często żartobliwego tonu opowiadania — atmosferę grozy i tajemniczości przywodzącą na myśl chwytliwie rozwijającej się w owym czasie w Anglii powieści „gotyckiej”. Okrucieństwa i makabra niektórych scen *Watheka* niewątpliwie przypominają scenerię i akcesoria tego gatunku literackiego, zapoczątkowanego przez słynne *Zamczysko w Otranto* H. Walpole'a.

Konstrukcja losu tytułowego bohatera, który *per fas et nefas* i przy pomocy tajemniczych, nieczystych sił zła chce dojść do władzy, przywodzi na myśl „gotyckich łotrów”, którzy wystąpią w powieści

grozy lat dziewięćdziesiątych XVIII w. Demonizm i magiczne praktyki Karatis oraz giaura, prorocze sny, przepowiednie, niezrozumiałe dla profanów napisy, groby, skalne pieczary i odludne górzyste pustacie, rola pejzażu, straszliwe wydarzenia w przyrodzie służące do wywołania nastroju grozy — wszystkie te akcesoria antycypują przyszłe dokonania powieści „gotyckiej”, zrealizowanej najpełniej w kilka lat później w *Mnichu* M. G. Lewisa. Obok zbieżności istnieją wszakże i dość istotne różnice. Brak w *Watheku* niewinnej i prześladowanej heroiny oraz scenerii średniowiecznego zamczy-ska.

Jednym z głównych bohaterów powieści „gotyckiej” był bowiem stary feudalny zamek, który Beckford zastąpił w swojej powiastce wspaniałymi pałacami i podziemiami Orientu, zaś opisy pełne „gotyckiej” grozy skontrastował z pejzażami i scenami idyllicznymi. Fakt ten pozostaje w związku z upodobaniami estetycznymi autora, z jego zainteresowaniami kulturą Wschodu i brakiem upodobań mediewistycznych w okresie pisania powiastki. Uległ tym gustom Beckford dopiero w kilka lat później i tylko w dziedzinie architektury.

W latach 1796—1807 przebudował swój dom w Fonthill na modłę ponurego średniowiecznego opactwa, ze słynną z daleka widoczną monumentalną wieżą, wzbudzającą ogólny, choć krótki tylko podziw. Wskutek błędu w konstrukcji wieża licząca 280 stóp zawaliła się już na początku XIX w. Beckford spędził jednak kilkanaście lat w swoim opactwie otoczonym wysokim murem, zdobnym w aleje starych drzew, ogród alpejski i piękne arboreum; później, gdy Fonthill mu się znudziło, sprzedał je w r. 1822 i przeniósł się w okolice Bath, gdzie z kolei urządził sobie luksusową siedzibę, w której pomieścił książki i dzieła sztuki zbierane przez całe życie. Co więcej, wzniósł przy swoim domu inną wieżę, tym razem w stylu „greckim”; można ją oglądać po dzień dzisiejszy.

Wydaje się, że obsesja wieży występująca w *Watheku* i zrealizowana w murze i cegle w posiadłościach Beckforda stanowi intrygujący symbol poczucia wielkości czy dumnej wyniosłości, łączącej się z chęcią odosobnienia się i odcięcia od ludzi i świata.

Wśród innych elementów, które wiążą życiorys autora i jego powiastkę, Wymienić trzeba tęsknoty eskapistyczne — ucieczkę w sferę fantazji, ułudy i pogoń za tym, co nieosiągalne. Złudzenia towarzyszą dziejom tytułowego bohatera, kuszonego i mamionego

przez chytrego giaura. *Wathek* jest na początku utworu po prostu rozmiłowanym w przepychu i rozpuszcie tyranem, odznaczającym się wszakże jedną szczególną cechą: niepohamowaną ciekawością. Buduje ogromną wieżę, aby poznać tajemnice niebios, być bliżej nieosiągalnego, a duma jego, gdy po raz pierwszy wchodzi na szczyt wspaniałej budowli, nie zna granic. Wtedy u boku *Watheka* pojawiają się kusieciele w postaci złowro-giego giaura i matki kalifa, *Karatis*, która wspiera swą okrutną mądrością czerpaną z praktyk czarno-księskich podszepty tajemniczego przybysza. Kalif zaintrygowany magicznymi napisami na szablach sprzedanych mu przez giaura, podniecony odczytanymi na nich w końcu przepowiedniami, oddaje się w moc cudzoziemca i spełnia jego najbardziej perfidne żądania. Na drodze kalifa, który zgodnie z nadprzyrodzonymi znakami udaje się w podróż do ruin *Persepolis*, piętżą się wymyślne pokusy, ostrzeżenia i przeszkody. Wszystkie te nadprzyrodzone i irracjonalne zjawiska służą okpieniu bohatera, zwiedzeniu go i okłamaniu. Jest on wszakże nieugięty w swym postanowieniu dojścia do celu; po-pępia wciąż nowe okrucieństwa i zbrodnie. Z napotkaną po drodze piękną *Nur en-Nahar*, którą zdobył pogwałciwszy prawa gościnności, dociera nieustraszony do podziemnej siedziby *Iblisa*, idąc z deter-minacją i odwagą ku swojej zgubie.

W osiemnastowiecznej powieści obyczajowej, sensacyjnej czy „gotyckiej” występowała zawsze szlachetna heroina i dzielny bohater wydobywający ją z opresji. W *Watheku* zarówno kusiciel, jak i jego ofiara — *Wathek* — są ludźmi występnyymi, a przewyższa ich jeszcze w niegodziwości matka i doradczyni kalifa. Niewiele lepsza jest również *Nur en-Nahar*, z natury psotna i złośliwa, zaś później równie ciekawa i chciwa skarbów jak *Wathek*. W stosunku kalifa do *Nur en-Nahar* nie ma nic z sentymentalizmu obowiązującego w ówczesnych powieściach; opis ich wzajemnego pożądania ujęty zostaje w skąpej frazeologii czystej erotyki, oddającej ich wzajemną i nieodpartą fascynację zmysło-wą.

Jeśli przestępcy są w tej powiastce ofiarami ludzi złych, to epizodyczne postacie reprezentujące zacność są ludźmi słabymi, śmiesznymi, przedstawianymi zazwyczaj w sposób groteskowy. Przegry-wają oni zawsze w starciu z siłami zła, są zmiotani z powierzchni ziemi okrutną wolą kalifa i *Karatis*. Zarówno dwaj posłuszni poczciwcy — wielki wezyr *Murakanabad* i główny eunuch

Baba Baluk, jak i świątobliwi staruchowie, czy nudny, pobożny i gadatliwy emir Fahr ed-Din są traktowani przez autora ironicznie i z niechęcią. Lud w *Watheku* z kolei jest ciemny, naiwny, po prostu głupi. Młodzieńczy i cnotliwy narzeczony Nur en-Nahar — Gulszenruz, to prawie jeszcze dziecko, słabe, bojaźliwe, o którym kalif pogardliwie mówi, iż pełen jest „mleka i cukru”. Ale przecież właśnie ten skromny i pokorny Gulszenruz wraz z okrutnie zamordowanymi przez kalifa dziećmi znajdzie się dzięki woli dobrego geniusza w pięknej krainie wiecznego i szczęśliwego dzieciństwa, zaś *Wathek* ze swą matką oraz kochanką zostaną potępieni.

W końcowym dyptyku powiastki dziecinne szczęście pokornych i słabych przeciwstawione zostaje karze dumnych i ambitnych, ale chyba nie taki jest morał całej historii — byłby dla jej autora nazbyt konwencjonalny. Nie łudźmy się dydaktycznym akcentem zamykającym opowieść. Zaczyna się ona w tonacji żartobliwej, a kończy w nastroju rzeczywistej grozy i powagi. W pierwszej części kalif jest postacią tragikomiczną, w zakończeniu osiąga swego rodzaju tragiczną wielkość. „Cóż to za wspaniały kalif! potępiłem go nawet ze sporą dozą wspaniałości” — pisał Beckford do lady Craven.

Wathek Beckforda jest poprzednikiem wielkich buntowników literatury romantycznej, postacią, w której dzieje młody autor wpisał swą fascynację złem, swoją ciekawość zakazanego poznania i przekonanie, że człowiek, który chce się wyróżnić wśród wulgarnego tłumu, musi przekroczyć nakazy ludzkie i boskie. Zbawienie człowieka — zdaje się mówić autor powiastki — mogłoby leżeć w powrocie do stanu dziecinnej niewinności, do jakiegoś sielskiego „wieku złotego”, ale człowiek silny szuka władzy, wszechmocy i wiedzy za cenę własnej zguby. Idylliczna szczęśliwość przeznaczona jest tylko dla słabych; silnym i zdecydowanym pozostaje potępienie, a więc podobnie jak bohaterom *Watheka* życie wśród nienawiści i rozpacz. Z upadku *Watheka* odczytać można również myśl, iż dla człowieka niezwykłego, o silnej indywidualności nie ma miejsca w świecie konwencji i przeciętności.

Ów świat — wracając do biografii Beckforda — obdarzył go podobnym losem, jaki pisarz przeznaczył swoim bohaterom. Po głośnym i celowo rozdmuchanym skandalu obyczajowym w r. 1784, w który zamieszany był szesnastoletni William Courtenay, Beckford wyjechał na Kontynent i do późnych lat dziewięćdziesiątych

przebywał przeważnie w Portugalii, Francji i Włoszech. Jego opinię miało podreperować małżeństwo zawarte w latach osiemdziesiątych i rychło zakończone śmiercią żony. Po powrocie do Anglii wiódł Beckford życie coraz bardziej ekscentryczne i samotnicze; zwano go powszechnie kalifem z Fonthill. W listach i rozmowach z nielicznymi przyjaciółmi wciąż dawał wyraz niechęci do współczesnej mu Anglii — protestanckiej, burżuazyjnej, moralnej i coraz bardziej uprzemysłowionej. Do śmierci w r. 1844 pozostał wierny swoim kaprysom i marzeniom, odgradzony od ludzi, w świecie ksiązek, muzyki i bezcennych zbiorów sztuki.

Wathek nie stał się początkowo wielką rewelacją literacką. Powiastkę docenili dopiero angielscy i francuscy romantycy, przede wszystkim Byron i Keats oraz liczni późniejsi buntownicy w dziedzinie życia i sztuki: Poe i Swinburne, Baudelaire, Mallarmé, Remy de Gourmont, Gide — by ograniczyć się do kilku najznakomitszych nazwisk. W Anglii *Wathek* ukazał się w drugim wydaniu w r. 1809, nastę-pne edycje zaczęły pojawiać się co parę lat. Szczególnym kultem darzył *Watheka* Mallarmé, który przygotował paryskie wydanie powiastki w r. 1876.

Wathek Beckforda należy do dwu literatur — francuskiej i angielskiej, oraz dwu epok — oświe-cenia i romantyzmu. Swoją ironią, sarkazmem i sposobem traktowania erotyki kontynuuje on tradycje filozoficznych i swawolnych powiastek osiemnastowiecznych, zaś konstrukcją losu tytułowego boha-tera wpisaną w narrację pełną fantastyki i grozy zapowiada nurt romantyczny. Dzisiejszy czytelnik może natomiast dostrzec w powiastce zbieżności ze współczesnym „czarnym nurtem” literatury, z któ-rym *Wathek* dzieli połączenie brutalnego realizmu z irracjonalizmem i pesymistyczną wizję człowieka zagubionego w świecie, wyrażoną przez tragizm spleciony z groteską.

Zofia Sinko